BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

Wychodzi od 1933 r.

Kamena

LUBLIN 15.VIII.1971 Nr 17 (476) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

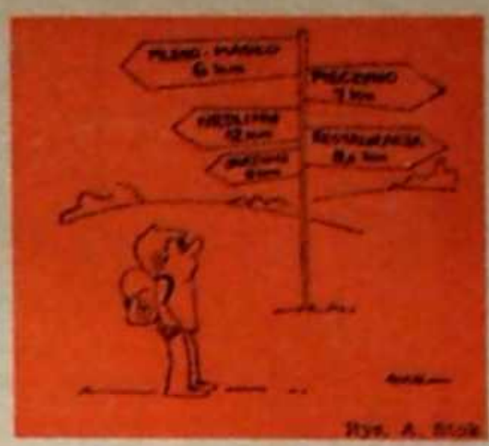

Już pomagają dobrą robotą

Od stycznia ze szczególną troską poszukujemy coraz bardziej efektywnych metod gospodarowania, pamiętając zarazem, że pierwszym celem produkcji jest wciąż lepsze zaspokajanie potrzeb ludzi — zarówno kupujących jak i wytwarzających dany artykuł. Jedną z takich metod, znanych zresztą i stosowanych już wcześniej, ale wciąż ulepszanych i zasługujących na największe upowszechnienie, jest metoda Do-Ro, zwana tak w skrócie od właściwej nazwy — metoda Dobrej Roboty.

Niedawno rozstrzygnięty został drugi ogólnopolski konkurs Do-Ro, zorganizowany przez redakcję „Trybuny Ludu", Polską Telewizję oraz Centralny Urząd Jakości i Miar. W konkursie tym jedno z trzech pierwszych miejsc zajęła Wytwórnia Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku pod Lublinem, której podstawowym wyrobem jest motocykl.

Celem popularyzacji tej metody, jak również przedstawienia wyników osiągniętych w WSK, redakcja „Kameny" zorganizowała dyskusję, w której wzięli udział: JAN BIESIADA — mistrz montażu motocykla, inż. HENRYK GOŁĘBIOWSKI — główny kontroler jakości oraz główny teoretyk i organizator tej metody w zakładzie, mgr inż. WŁADYSŁAW JANIK — dyrektor naczelny, inż. MARIAN MALISZEWSKI— zastępca głównego technologa, inż. RYSZARD MICHALSKI — zastępca głównego kontrolera jakości, ANNA RUDKO — monter na taśmie motocykla, inż. JAN WINIARCZYK — kierownik Wydziału Motocyklowego. Redakcję reprezentował red. JERZY DOSTATNI.

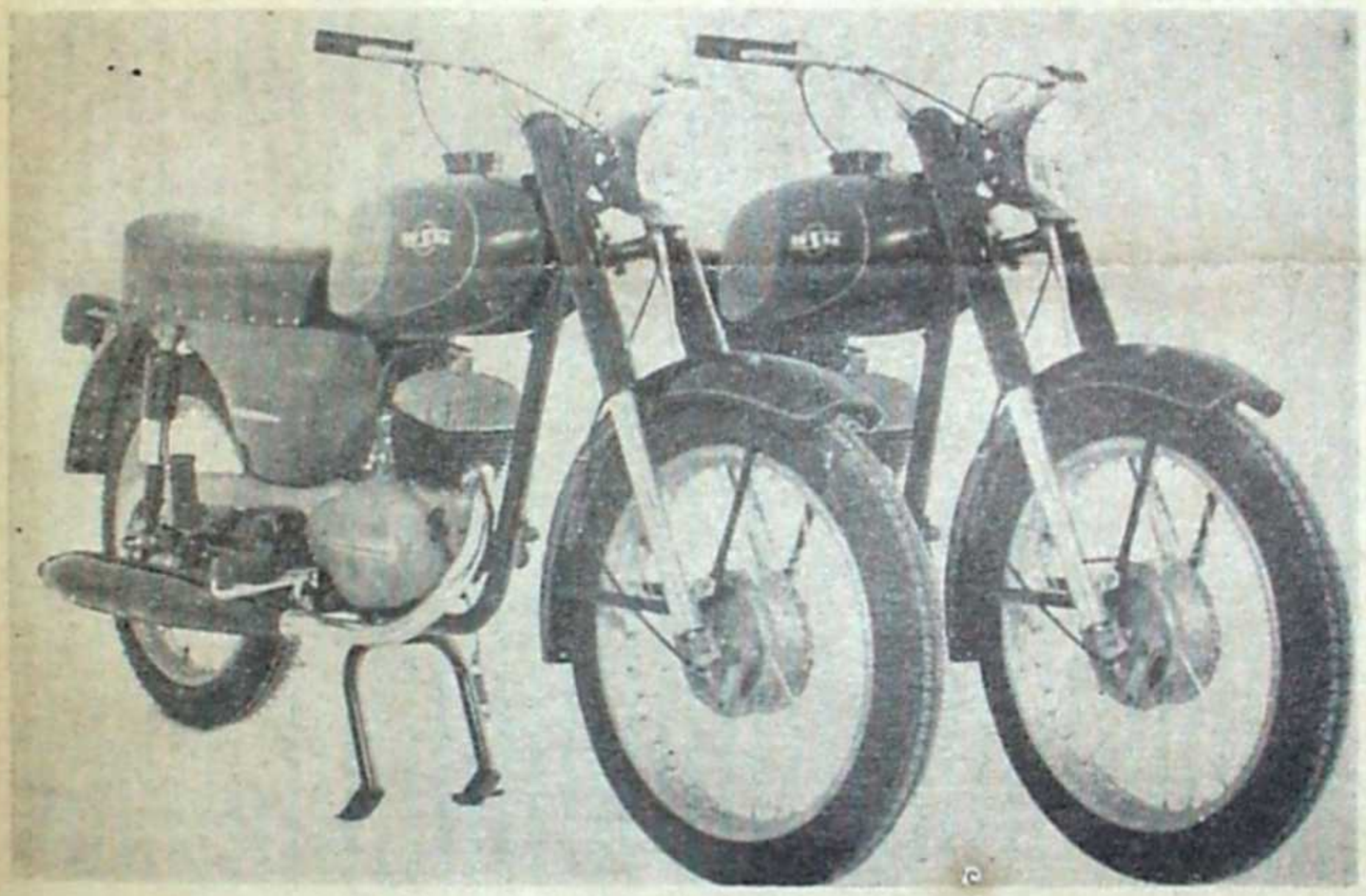

Dostatni: — Pisząc swoją pracę dyplomową na temat tej właśnie metody, wynalazł pan, panie inżynierze, piękne motto u Gałczyńskiego. Okazuje się, że poezja także może być inspiratorem przedsięwzięć techniczno-organizacyjnych i to z doskonałym skutkiem.

Gołębiowski: — Rzeczywiście, chodzi o to, aby chcieć, umieć i móc. Chcieć dobrze wykonać robotę, to znaczy doprowadzić do wysokiego poziomu motywację postępowania własnego i zespołu. Osobiste zaangażowanie to niezwykle silny instrument oddziaływania. Jest ono wynikiem właściwego ustawienia zarówno bodźców moralnych jak i materialnych. W kategorii pierwszej duże znaczenie posiada np. fakt, że pracownik sam kontroluje jakość swojej pracy, oczywiście po zdobyciu odpowiednich kwalifikacji. Wie, że odpowiedzialność za pracę jest autoryzowana i jest z tego dumny. Rodzi się naprawdę pełne zaangażowanie osobiste. Umieć — to odpowiednie kwalifikacje. Zespół naszych przyzakładowych szkół zawodowych kształci równocześnie prawie tysiąc ludzi, nie licząc dziennego technikum w mieście. W ostatnich 10 latach 235 pracowników WSK ukończyło wyższe studia, z tego 196 tylko w roku ubiegłym. W tym samym czasie 1800 zdobyło wykształcenie średnie — 974 w ostatnim roku. Na różnych kursach przeszkolono 7480 osób. To był przecież olbrzymi wysiłek zarówno tych ludzi jak i całego zakładu i przy ukształtowaniu innych warunków musiał przynieść efekty.

Janik: — Metoda narodziła się w USA w przemyśle statków kosmicznych, gdzie zagadnienie jakości produkcji jest problemem kapitalnego znaczenia, gdzie w grę obok przewidywań konstruktora i technologa wchodzą elementy subiektywne ludzi pracujących. Przeprowadzona też analiza strat ekonomicznych, powstających w wyniku złej jakości produkcji, potwierdziła wielkość problemu. To są sumy horrendalne w skali światowej. W ZSRR narodziła się tzw. metoda saratowska, w NRD — metoda „wolna od błędów". Wkrótce powstały organizacje międzynarodowe, w tym również Europejska Organizacja Sterowania Jakością, której członkiem jest Polska. W bezusterkowej metodzie produkcji chodzi o kompleksowe sterowanie jakością, o pełną analizę ekonomiczną. W Polsce rolę wiodącą i koordynującą odgrywa Centralny Urząd Jakości i Miar. Nasz rozwijający się przemysł chce wejść szerokim frontem na rynki świata, musi więc dać towary o bardzo wysokich walorach technicznych, użytkowych i estetycznych, stąd pilna potrzeba zajęcia się tym problemem. Pierwszym zakładem, który w kraju zaczął stosować ową metodę na przełomie lat 1967—1968, była Toruńska Przędzalnia Czesankowa „Merinotex". Oparta ona była na teoretycznych opracowaniach prof. Tadeusza Kotarbińskiego, a zwłaszcza na jego „Traktacie o dobrej robocie". Stąd i nazwa metody. Chciałbym podkreślić, że w odróżnieniu od metod zachodnich, u nas bardzo wielką rolę w motywacji u ludzi odgrywają problemy pozamaterialne, chociaż materialne też nie są bez znaczenia.

Gołębiowski: — Przygotowania do wprowadzenia metody Do-Ro u nas trwały już od 1968 roku. Nie była to żadna konspiracja wewnątrzfabryczna. Odczuwali to nabywcy motocykli: najpierw znieśliśmy limit kilometrów w korzystaniu z okresu gwarancyjnego, potem ten okres przedłużaliśmy z 6 na 9 miesięcy i z 9 na 12 miesięcy. Wreszcie uznaliśmy, że przegląd gwarancyjny to przywilej użytkownika a nie obowiązek, więc jeżeli właściciel motocykla nie zgłaszał się na taki przegląd, to nie tracił praw gwarancyjnych — jesteśmy jedyną fabryką tak postępująca. Z wyjątkiem żarówek i bezpieczników dajemy gwarancję na wszystko. Przecież gdybyśmy wiedzieli, że jakość naszej produkcji jest zła, że nie jest coraz lepsza, nie podejmowalibyśmy takiego ryzyka.

Dostatni: — A przecież był czas, gdy produkcję motocykla uważano u was za coś gorszego...

Gołębiowski: — Gorzej — za produkcję uboczną, czasem nawet za zło konieczne. Najczęściej jeżeli kogoś karano, to właśnie przez przenoszenie do produkcji motocykli. Ale gdy ten dział zaczął

Dokończenie na str. 3

Regaty na Firleju. Fot. [illegible]

Za dużo na jedno życie

Romuald Wiśniewski

MAJ w Bukareszcie to dobry miesiąc do wesela. Już gorąco, napłynęło powietrze znad Morza Czarnego, ale jeszcze nie upały. Za to noce, gdy powieje od Karpat, są chłodne. Można bawić się, tańczyć. W maju żenił się w Bukareszcie Vasil Mihai. Miał wtedy 17 lat, a oblubienica, Nina Cincovic — o kilka mniej.

— Jak się kocha, a dziewczyna jest do rzeczy, nie ma co zwlekać — powiedzieli Vasilovi rodzice i przyzwolili.

A była do rzeczy. Ładna, zgrabna, śpiewała, tańczyła, w domu też umiała zrobić co trzeba.

Stara biserica przy głównym bulwarze z trudem pomieściła świadków obrzędu. Pop z małą bródką pobłogosławił nowożeńców. Potem rodzina, przyjaciele i znajomi składali życzenia. Toate cele bune!

Kilka dni później wyruszyli z innymi w drogę. La revedere! Pe curind! — całował ich dziadek, który był za stary na podróże. Wypoczęte konie rwały kłusem, turkotały koła wozów. Podróż, podróż! Cieszyli się, bo to był ich żywioł. Wędrowali tak co roku, odkąd sięgała ich pamięć, odkąd sięgały wspomnienia przodków, od zawsze. Wędrowali jak wszyscy Cyganie w tej części świata.

Cygan Cyganowi nie jest równy dziś, nie był i dawniej. Oto zdjęcie dwunastu mężczyzn. Ośmiu w łachmanach, brody po pas, włosy do ramion. Czterej pozostali wygoleni, włosy i wąsiki przystrzyżone, porządne garnitury, białe koszule, krawaty — to Vasil i trzej jego bracia. Brodacze byli członkami prymitywnego plemienia cygańskiego żyjącego prawie wyłącznie w lesie. Ich żony i córki rzuciły się do Mihałów: powróżyć, panie, karta prawdę powie, powróżyć... Prawdziwa egzotyka!

Vasil żadnym panem nie był. Pochodził z rodziny wędrownych artystów i rzemieślników, ze szczepu Lowarów, jednego z najstarszych, najwyżej rozwiniętych cywilizacyjnie. Jego ojciec, Mihai Mihai, zajmował się kotlarstwem. Matka, Pisja Janosevic, śpiewała i tańczyła. Ich grupa nie kradła koni czy kur, nie wróżyła, nie oszukiwała. Zimy spędzali w stałych siedzibach rodów, na ogół w miastach i miasteczkach. Dziadek Vasila miał mały domek w Craiovej, dziadek jego żony pod Bukaresztem. Wiosną cała grupa zjeżdżała się i wyruszała wozami konnymi w podróż. Wyprzedzało ich kilku wysłanników, którzy wynajmowali lokale na występy, organizowali sprzedaż biletów, ustalali miejsca na biwaki. Do swych stałych, choć skromnych siedzib wracali także z powodu choroby, przyjścia dziecka na świat, ślubu. Vasil urodził się w Bukareszcie, w roku 1899. Jego trzej bracia i dwie siostry też tam. Na miejscowym cmentarzu spoczywają prochy ich przodków.

W drogę gnał ich wielowiekowy nawyk, choć na pewno nie mniejszym bodźcem była potrzeba zarobienia na życie. Wędrowali po całych Bałkanach, zapuszczali się na Ukrainę, do Polski, Czechosłowacji, Austrii. Obywatelstwo mieli rumuńskie, lecz prawie w równym stopniu czuli się obywatelami tych wszystkich krajów, do których jeździli. Wszędzie mieli krewnych. Mihai Mihai, który wiele sezonów spędził w Polsce, rozmawiał swobodnie po polsku, znał rumuński, węgierski, rosyjski, no i oczywiście cygański — dialekt Lowarów. Kilka rodzin z ich grupy w paszportach w rubryce „limba materna" — język macierzysty, miało wpisane „poloneza". Vasil lubił przyjazdy do Polski, choć poza Lwowem i Stanisławowem niewiele jej widział i język znał słabo. Ludzie byli sympatyczni, życzliwi, publiczność tłumnie waliła na występy, za każdym razem zarabiali sporo pieniędzy. W roku 1928 urodził mu się we Lwowie syn. Otrzymał polskie imię — Władysław. Ten od małego swobodnie mówił po polsku.

Wybuch II wojny światowej zastał grupę w Rumunii. W roku 1940 znaleźli się w Besarabii, która weszła wówczas w skład Związku Radzieckiego. A w 1941, gdy Niemcy napadły na ZSRR, grupa Lowarów, której kierownikiem został wówczas Mihai Mihai, wyruszyła w swą najdłuższą podróż. Władze radzieckie ewakuowały ją do Taszkientu. Podróż była długa i ciężka, pociąg musiał wiele razy ustępować z drogi transportom wojskowym idącym w kierunku frontu. Funia, drugi syn Vasila, urodzony na początku 1940 roku w Bukareszcie, gorączkował.

Władze kierowały Cyganów do różnych prac. Vasil Mihai, który po zmarłym wkrótce ojcu został kierownikiem grupy, zadeklarował w imieniu całego zespołu chęć prowa-

Dokończenie na str. 4—5

teatrnn.pl

Kultura 1971

Literatura

* Nagrodami Ministra Kultury i Sztuki w dziedzinie literatury zostali wyróżnieni: I stopnia — Tadeusz Nowak za tom wierszy „Psalmy" oraz za książkę „A jak królem, a jak katem będziesz" oraz Andrzej Kuśniewicz za książkę „Strefy"; II stopnia — Miron Białoszewski za „Pamiętnik z Powstania Warszawskiego", Urszula Kozioł za dorobek poetycki z uwzględnieniem pozycji „Lista obecności" i „Poezje wybrane", Andrzej Braun za „Próżnię", Bogusław Kogut za twórczość pisarską; III stopnia — Anna Kamieńska za tom wierszy „Biały rękopis", Wiesław Myśliwski za „Pałac" i Irena Dowgielewicz za twórczość literacką w prozie i poezji.

* Redakcja „Chłopskiej Drogi" utworzyła doroczną nagrodę artystyczną imienia Jana Pocka. Będzie ona przyznawana tym, którzy swoją działalnością wnoszą najcenniejszy wkład w rozwój kultury ludowej. Nagroda po raz pierwszy zostanie przyznana 22 lipca 1972 roku.

* Anna Kamieńska złożyła w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej jedenasty tom poezji pt. „Herody", a w naszej Księgarni czeka na wydanie powieść dla dzieci starszych o okupacji w Lublinie i na Lubelszczyźnie pt. „Żołnierze i żołnierzyki".

* PIW wyda ponownie „Pamiętnik z Powstania" Mirona Białoszewskiego i „Teatr Osobny" — wszystkie jego sztuki grane przez Teatr Osobny. W przyszłym roku ukaże się książka pod oryginalnym tytułem „Ewr kapiel", jak mówi autor — „donosy z rzeczywistości".

* Gdańska kawiarnia „Staromiejska" w każdą sobotę sezonu letniego organizuje wieczory literackie, podczas których prezentują swoją twórczość młodzi poeci Wybrzeża.

* W Związku Radzieckim ukazuje się około 100 czasopism Związku Pisarzy ZSRR.

* Amerykański prozaik i dramaturg William Saroyan, urodzony w Kanfornii z rodziny ormiańskiej, napisał sztukę „Ogród z winoroślą" specjalnie dla teatru w Erewaniu. Sztuka mówi o gorzkim losie żyjącej na emigracji rodziny ormiańskiej. Premiera odbyła się niedawno.

* We Frankfurcie nad Menem w NRF ukazała się powieść „Skrwawiona stal" Bruno Gluchowskiego. Akcja toczy się w środowisku hutników Zagłębia Ruhry, a bohater, początkowo „apolityczny", staje się bojownikiem o polepszenie warunków pracy robotników. Pisane początkowo reportaże na ten temat nie mogły ukazać się w prasie, zależnej od wielkiego kapitału.

Teatr

* Nagrody Ministra Kultury i Sztuki otrzymali: I stopnia — Henryk Borowski i Jerzy Jarocki; II stopnia — Józef Szajna, Zofia Kucówna i Józef Gruda; III stopnia — Jan Dorman, Igor Przegrodzki i Hanna Winiarska.

* W Warszawie występował przez 10 dni czechosłowacki zespół „Laterna magica" z programem, przygotowanym na „Expo-67" i prezentowanym na „Expo-70", a obejmującym dramat, pantomimę, balet, operę, operetkę i film. We wrześniu zespół da cykl występów w Katowicach.

* W chwili obecnej 6 polskich teatrów, w tym lubelski, prowadzi współpracę i wymianę z teatrami jugosłowiańskimi.

* 70 rocznicę urodzin obchodził niedawno Siergiej Obrazcow, dyrektor Centralnego Teatru Lalek w Moskwie, zarazem aktor, reżyser, scenarzysta filmowy, pisarz, działacz społeczny, malarz i pedagog. Ponadto zajmuje się fotografią, hoduje ryby i ptaki oraz rysuje.

* Już 19 lat grana jest w londyńskim teatrze „Ambassadors" sztuka Agaty Christie „Pułapka na myszy". Dotychczas odbyło się 7700 spektakli, które obejrzało 2,5 mln widzów. Ale rekord wciąż należy do sztuki „Opój", która grana była przez jeden teatr w Los Angeles przez 26 lat.

Sztuka

* Nagrody Ministra Kultury i Sztuki otrzymali: I stopnia — Stanisław Teisseyre, Władysław Hasior, Roman Opałka i Jan Zachwatowicz; II stopnia — Waldemar Świerzy, Władysław Jackiewicz, Antoni Duda-Dziewierz i Jan Dąbrowski; III stopnia — Jan Berdyszak, Leszek Rózga i Czesław Konopka.

* W Sierpcu powstaje regionalne muzeum etnograficzne, które jednocześnie stanowić będzie podstawę dla utworzenia pierwszego w woj. warszawskim skansenu budownictwa wiejskiego.

* W Szkole Sztuk Pięknych w Addis Abebie odbyła się wystawa polskiego plakatu artystycznego.

* Podczas budowy rurociągu w rejonie Szamchor w Azerbejdżanie odkryto biały głaz z inskrypcją w piśmie kufickim (starsza forma alfabetu arabskiego). Dzięki temu nie zidentyfikowane dotąd ruiny miasta zdołano ustalić jako resztki z XI wieku kwitnącego wówczas miasta Szamkur, znanego z opisów arabskich podróżników i geografów.

* Istniejące przy operze mediolańskiej La Scala muzeum istnieje już 60 lat. Wśród eksponatów znajduje się m. in. odlew dłoni Chopina, ofiarowany przez Liszta.

* W okolicy Nicei, gdzie przed 6 laty odkryto relikty osady sprzed 30 tysięcy lat, powstaje muzeum skansenowskie, poświęcone najstarszemu okresowi rozwoju człowieka.

* Badania geologiczne prowadzone przy okazji poszukiwań ropy potwierdziły, że obszar Morza Północnego przed kilku tysiącami lat był lądem. Odnaleziono doliny Pra-Reni i jego dopływów. Jeszcze grecki podróżnik Pyteasz z Massalii pisał, że po opłynięciu Irlandii i Anglii dotarł do wyspy na Morzu Północnym — wyspy tej dotychczas nie udało się zlokalizować. Była to prawdopodobnie resztka owego lądu, dziś znajdująca się 19—30 m pod powierzchnią wody.

Muzyka

* Nagrody Ministra Kultury i Sztuki otrzymali: I stopnia — Halina Łusomska za osiągnięcia artystyczne w dziedzinie wokalistyki, Zygmunt Latoszewski za całokształt działalności dyrygenckiej i organizatorskiej oraz Karol Stromenger za całokształt działalności krytycznej i eseju oraz popularyzację muzyki w radio i telewizji; II stopnia — Augustyn Bloch za twórczość kompozycyjną, Bogusław Schaffer za twórczość kompozycyjną i w dziedzinie muzykologii, Mieczysław Tomaszewski za osiągnięcia edytorskie w rozwoju kultury muzycznej, Andrzej Dobrowolski za osiągnięcia kompozytorskie, Lidia Grychtołowna za osiągnięcia w dziedzinie pianistyki; III stopnia — Ewa Demarczyk za interpretacje pieśniarskich tekstów wybitnych poetów polskich.

* We wrześniu odbędzie się w Bydgoszczy kolejny festiwal, organizowany przez Filharmonię Pomorską im. J. Paderewskiego. Tematem będzie muzyka polska i francuska od średniowiecza do awangardy.

* Grupa muzyczna „Bumerang" z Łodzi wyjechała na 3 miesiące do Słowacji, jesienią zaś wybiera się aż na Cypr.

* Zdzisława Sośnicka oraz Bolesław Gromnicki przebywają na miesięcznym tournée w Bułgarii.

* Filharmonia ROW rozpocznie nowy sezon z początkiem września, na inauguracyjnym koncercie wystąpi Witold Małcużyński.

* Ponad 10 tys. słuchaczy zgromadziły imprezy jubileuszowego X Festiwalu Moniuszkowskiego w Kudowie-Zdroju.

* Słynne organy w katedrze fromborskiej zostały odnowione. Mają one ponad 5 tysięcy piszczałek długości od 6 mm do 5,6 m.

* W listopadzie Operetka Warszawska wystąpi z premierą popularnej już na scenach światowych pozycji — „Człowiek z La Manczy" Dale Wassermana w reżyserii Macieja Bordowicza.

* Na zakończenie sezonu warszawski Teatr Wielki wystąpił z polską prapremierą opery Claudio Monteverdiego „Koronacja Poppei", skomponowanej w 1642 roku, krótko przed śmiercią twórcy. Kierownictwo muzyczne sprawuje Zygmunt Latoszewski.

* Jan Tacina, muzykolog i pracownik naukowy Państwowego Muzeum w Bielsku-Białej, zebrał 12 tysięcy przyśpiewek ludowych z Beskidów, Śląska Cieszyńskiego i Opolskiego.

* Jest to jedyny znany mi muzyk, którego nikt na świecie nie może zastąpić — powiedział o Armstrongu jego przyjaciel Bing Crosby. Armstrong zmarł na serce, kilka dni po wyjściu ze szpitala.

* Z udziałem przedstawicieli 16 państw rozpoczął się w Paryżu VI Festiwal Letni, który potrwa do 7 września. Odbędą się 42 koncerty w 6 miejscowościach.

Film

* W roku ub. zawarliśmy 148 transakcji eksportowych na polskie filmy fabularne, z tego 54 z krajami zachodnimi, 1190 transakcji na krótkometrażowe (639 z krajami zachodnimi). Z fabularnych największym powodzeniem cieszyły się „Struktura kryształu" (do 8 krajów) i „Pan Wołodyjowski" (do 7 krajów). Najwięcej kontraktów zawarto z Węgrami i Bułgarią.

* W Rzymie odbył się pokaz trzech filmów zrealizowanych nielegalnie we frankistowskiej Hiszpanii. Ukazują one walkę polityczną jaką toczy w tym kraju klasa robotnicza, działalność masowych organizacji ludzi pracy oraz dzień powszedni dzisiejszej Hiszpanii.

* We Francji powstaje trzecia filmowa wersja melodramatu „Śpiewak nieznany" z Ivanem Rebroffem w roli głównej. Druga wersja z Tino Rossim wyświetlana u nas była w latach pięćdziesiątych.

Różne

* Za propagowanie sztuki i kultury polskiej, światowej sławy skrzypek meksykański polskiego pochodzenia, Henryk Szeryng otrzymał odznakę „Zasłużony dla kultury polskiej".

* Przebywająca w Chile pianistka Lidia Grychtołówna oraz dyrygent Stanisław Wisłocki dali w Santiago koncert, z którego dochód przeznaczyli na pomoc ofiarom powodzi w tym kraju.

* Teodor Parnicki odnalazł swego brata Adolfa — obaj od 30 lat byli przekonani, że drugi z nich nie żyje. Adolf Parnicki jest obywatelem radzieckim, mieszka w Woroneżu, gdzie jako dr nauk technicznych jest wykładowcą w Instytucie Politechnicznym. Adolf dowiedział się o swoim bracie z czytania przekładu na rosyjski powieści „Aecjusz — ostatni Rzymianin".

Podobno najbardziej przyzwoita scena z zachodnio-niemieckiego filmu „Orgia" M. Verhoevena

Arabski labirynt

NIESPODZIANKĄ dla wielu będzie stwierdzenie, że stosunkowo najwięcej milionerów na świecie posiada — Kuwejt. Co 230 mieszkaniec tego małego kraju posiada majątek, liczony — w dolarach — co najmniej sześciu cyframi. Tej ludności jest zresztą tylko 770 tysięcy, a z tego zaledwie połowa to pełnoprawni obywatele, którzy nie płacą żadnych podatków, mają bezpłatne telefony, korzystają z całkowicie bezpłatnej opieki lekarskiej łącznie ze szpitalami i lekarstwami itd. Zamiast wielbłądów po piaskach pustyni — suną sznury amerykańskich krążowników szos po sześciopasmowych autostradach. Licząc na głowę ludności — Kuwejt ma po USA najwyższy dochód na głowę.

Wszystko to zawdzięcza bardzo obfitym, wysoko wartościowym i niezwykle tanim w eksploatacji pokładom ropy naftowej. Za eksploatację tego bogactwa otrzymuje Kuwejt 1 300 tysięcy dolarów rocznie, co dla tak małego państewka stanowi sumę olbrzymią. Rodzina dziedzicznie panujących tam szejków, drobną część tych dochodów, jakieś 7—8 procent, wydaje na pomoc dla innych krajów arabskich lub organizacji palestyńskich. Ten deszcz dolarów powoduje, że Kuwejt cieszy się życzliwością wśród pozostałych państw arabskich i że nikt nie interesuje się bliżej tym, iż metody rządzenia w tym kraju sięgają epoki feudalnej, że członkowie najbliższej rodziny szejka nie tylko zajmują najwyższe stanowiska, ale obficie korzystają z owego złotego deszczu.

Ale Kuwejt to jedyna spokojna — dotychczas — wyspa konsumpcyjnej obfitości w świecie arabskim. W innych bowiem krajach tego rejonu wciąż wybuchają konflikty, a nawet tragedie, w wyniku których rozdarty różnymi sprzecznościami świat arabski ani nie może wypracować wspólnej polityki, ani też skutecznie przeciwstawić się wojskowej czy politycznej agresji Izraela.

Niezwykle silna indywidualność Nasera przez szereg lat dominowała nad całym Bliskim Wschodem, skutecznie sięgając nawet do dalekiego Maroka i Algierii. Żyjący w jego cieniu wiceprezydent Sadat zajął wprawdzie jego miejsce oficjalnie, ale od samego początku spotkał się nawet we własnym kraju z przeciwnikami, którzy najpierw chcieli zrobić z niego swoją marionetkę, a potem w ogóle usunąć. Z tej próby Sadat wyszedł zwycięsko i znacznie umocnił zarówno osobistą pozycję jak i znaczenie ZRA w polityce międzynarodowej. I chociaż właściwie jest on dzisiaj jedynym człowiekiem, wokół którego może się kształtować wspólna polityka państw arabskich, to przecież wiele jeszcze wody upłynie w Nilu, zanim będzie on mógł rzeczywiście zająć pozycję swego poprzednika.

Pod koniec życia Nasera wydawało się, że wschodzącą gwiazdą świata arabskiego jest Jassir Arafat, przywódca Organizacji Wyzwolenia Palestyny i zarazem przewodniczący Komitetu Wykonawczego Palestyńskiej Rady Narodowej. Cechowały go odwaga i zręczność taktyczna, umiarkowanie i jednocześnie zdecydowanie. Żył w trudnych warunkach obozowych razem z innymi partyzantami, a stale noszony battle dress i pas amunicyjny tworzyły wokół niego aureolę romantycznego wojownika.

W ruchu palestyńskim jednak co pewien czas dochodziły do głosu różne tendencje ekstremistyczne, wskutek czego Arafat coraz mniej czasu mógł poświęcać na problemy walki partyzanckiej, a coraz więcej musiał zajmować się rozgrywkami politycznymi, nierzadko sztucznie tworzonymi przez osobiste ambicje różnych przywódców partyzanckich.

To było główną przyczyną osłabiania prężności ruchu partyzanckiego. Stąd w kolejnych starciach z królem Husajnem komandosi arabscy tracili jedną pozycję po drugiej. Wspomagany przez Amerykanów Husajn zdawał sobie sprawę, że jego tron stoi na coraz bardziej spróchniałych nogach i — mając faktyczne poparcie sojusznika z drugiej półkuli, zdecydował się na ostateczną rozprawę z feddainami. Wygrał, bo takie były obiektywne warunki. Więcej — partyzantka arabska w Jordanii faktycznie przestała istnieć. Jak wielka była nienawiść króla i jego beduinów do komandosów arabskich świadczy chociażby fakt, że wielu z tych komandosów po ostatnim konflikcie zbrojnym wolało złożyć broń wojskom izraelskim niż jordańskim.

Kolejną tragedią narodów arabskich był nieudany spisek w Maroku. I w jego konsekwencji plutony egzekucyjne, rozstrzeliwujące ludzi przed kamerami telewizyjnymi. Za plecami króla Hasana, a właściwie nad nim i za niego, stanął dawny szef policji, tej oficjalnej i tajnej, generał Ufkir, który „odznaczył" się już przed laty porwaniem i zamordowaniem jednego z najbardziej postępowych polityków tego kraju — Ben Barki. Sam król podżyrował jego postępowanie oświadczając, że przed plutonami egzekucyjnymi stanie 1400 osób.

Maroko jest krajem, w którym do dzisiaj również przetrwały struktury społeczne okresu feudalizmu. Władzę ekonomiczną nad krajem sprawują nadal spadkobiercy francuskich kolonów.

Po zlikwidowaniu zamachu stanu w Maroku wcale nie postępowy dziennik francuski „Paris Jour" pisał: *Daremnie szukać wewnętrznych marokańskich przyczyn zamachu wojskowego w Rabacie. Armia została wielokrotnie „oczyszczona" z oficerów podejrzanych o „postępowe" poglądy. Opozycja została ośmieszona przez wyborców. Krwawy zamach przeciwko Hasanowi II jest jedynie nowym przejawem gorączki, wstrząsającej całym światem po zaszczepieniu przez Anglię obcego ciała w jego łonie: państwa Izrael.*

A komunistyczna „L'Humanite" dodawała: *Jest to również wynik neokolonializmu... Ci, którzy chcą zaradzić słabościom reżimu marokańskiego zwiększają władzę generała Ufkira, który rządzi przy pomocy metod policyjnych... Jego ulubioną bronią jest prowokacja, tortury i zabójstwa. Ale w ten sposób tron Hasana nie zostanie umocniony. Może jedynie zwiększyć liczbę ofiar terroru marokańskiego.*

I oto jeszcze nie ucichły salwy egzekucyjne w Maroku, gdy nowy dramat zaczął się w Sudanie. Najpierw w bezkrwawym przewrocie został pozbawiony władzy prezydent Nimeiri. Po trzech dniach nastąpił kontrzamach, w którym Nimeiri znów doszedł do władzy. Ale tym razem już władzy o charakterze dyktatorskim. Wyeliminował ze wszystkich ważniejszych stanowisk ludzi o postępowych poglądach, nawet tych, którzy ale brali żadnego udziału w wypadkach sprzed trzech dni. Bodaj że jeszcze głośniej i liczniej zabrzmiały salwy plutonów egzekucyjnych. Przed 6 urzędującymi niemal bez przerwy sądami wojskowymi ma stanąć kilkaset osób, lista zresztą wydłuża się z godziny na godzinę.

W Sudanie rozpoczęło się prawdziwe polowanie na czarownice. Nimeiri i jego zwolennicy, wykorzystując pierwszy zamach stanu, dążą do generalnej rozprawy z całą lewicą, z wszystkimi siłami postępowymi. Są wśród nich nie tylko komuniści, członkowie partii, najsilniejszej i najbardziej dotąd zdyscyplinowanej w tym kraju. Mimo apelu Światowej Federacji Związków Zawodowych stracony został wiceprzewodniczący tej organizacji, Ahmed asz-Szejh. Nie pomogły oficjalne protesty Francuskiej Partii Komunistycznej. Bez echa minęło wezwanie węgierskiego dziennika „Nepszabadsag", który pisał:... *najlepsi, wypróbowani bojownicy... przedstawiciele postępowych sił są ścigani i mają stać się ofiarami represji.*

Krwawe wypadki w Sudanie przyczyniły się do dalszego pogłębienia rozbieżności w świecie arabskim. Irak jako pierwsze i jedyne zresztą państwo na świecie uznało władze sudańskie po pierwszym zamachu. Libia udzieliła bezpośredniej pomocy Nimeiriemu. Stanowiska innych państw arabskich wahają się zależnie od sytuacji. Podobnie zresztą jak w sprawie Jordanii. Wprawdzie Syria zamknęła granicę z Jordanią, ale jest to tylko gest, nie mający praktycznie większego znaczenia. Podobnie jak nieco wcześniejsza, analogiczna decyzja Iraku, połączona zresztą z zerwaniem stosunków dyplomatycznych. Słowne protesty kilku innych państw arabskich stwarzają wprawdzie królowi Husajnowi różne kłopoty, nie stanowią jednak realnego niebezpieczeństwa dla jego polityki, zmierzającej — jak się wydaje niemal pewne — do formalnego zakończenia wojny z Izraelem na własny rachunek. Oczywiście, nie bez zakulisowego udziału amerykańskiego imperializmu.

Bo tenże właśnie imperializm, który nie chce się wyrzec ani udziału w eksploatacji bogactw naturalnych Bliskiego Wschodu, ani ważnych w tym rejonie pozycji strategicznych — jest główną przyczyną tragedii, jaką od lat przeżywa świat arabski. Tragedią tą jest nie tylko sam konflikt zbrojny z Izraelem, ale właśnie owe rozbieżności, spięcia, ostatnio rzadko opadające, częściej wzbierające na sile i gwałtowniejsze. Nic tu nie ma do rzeczy, albo niewiele, oficjalna polityka USA, w słowach zmierzająca do politycznego rozwiązania konfliktu. Realia ciągną w całkiem innym kierunku. Zarówno w stosunku do krajów arabskich jak i do Izraela, którego siła i buńczuczność opierają się przede wszystkim na amerykańskiej broni i amerykańskich dolarach.

Dziś nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak potoczą się dalej losy na Bliskim Wschodzie, jak w najbliższej przyszłości ukształtuje się sytuacja w poszczególnych krajach arabskich. I czy dojdzie wreszcie do zjednoczenia świata arabskiego.

Jak się okazuje, do tego zjednoczenia nie doprowadziła ani dawna polityka kolonialna, ani neokolonialna. Zbyt wielkie tkwią sprzeczności w samej istocie imperializmu, aby mógł on w jakimś rejonie świata doprowadzić do sytuacji, która nie groziłaby wcześniej czy później wybuchem.

Jedynym wyjściem jest zasadnicza przebudowa stosunków społecznych w krajach arabskich, radykalne reformy w gospodarce, uspokojenie, a potem wyeliminowanie rozbudzonych sił nacjonalistycznych. To wszystko jednak wymaga i czasu, i wielkiego wysiłku a zapewne i dalszych jeszcze ofiar ze strony sił postępowych, które przecież istnieją i wzrastają w każdym z tych krajów. Z troską czekamy na chwilę, w której te siły będą mogły decydować o jedności świata arabskiego, a w konsekwencji o budowaniu niezależności własnych państw i ich siły politycznej oraz gospodarczej.

(jd)

Za Bugiem

OD kilku lat w lipcu przyjeżdżają do Lublina studenci polonistyki lwowskiej na tzw. wakacyjny kurs językowy, nasi rusycyści zaś jadą do Lwowa i Woroneża. Poloniści lwowscy słuchają wykładów, uczestniczą w specjalnych ćwiczeniach językowych przygotowanych przez UMCS, zwiedzają zabytki, jadą na dłuższą wycieczkę po Polsce, która naturalnie obejmuje Kraków i Warszawę. W ten sposób wzbogacają znacznie swoją wiedzę o Polsce i języku polskim.

Kierownikiem tegorocznej grupy lwowskiej jest doc. Aleksandra Hrybowska. Jest ona autorką szeregu artykułów naukowych w czasopismach radzieckich, a dotyczących literatury polskiej. Tematem jej pracy doktorskiej z r. 1950 było zagadnienie: Eliza Orzeszkowa a literatura rosyjska. Wraz z W. Motornym wydała popularną „Historię literatury polskiej" z przeznaczeniem dla szerokich kręgów czytelniczych.

Pani docent opowiada o lwowskim teatrze polskim, o interklubie „Slavin", o pracach lwowskich polonistów, o studiach polonistycznych we Lwowie.

Przy Domu Nauczyciela we Lwowie istnieje polski teatr, prowadzony od 13 lat przez Zbigniewa Chrzanowskiego (absolwenta lwowskiej slawistyki). W teatrze tym wystawiane są sztuki Zapolskiej, Kruczkowskiego i in. Polonistyka uniwersytecka uczestniczy w nim poprzez bezpośrednie angażowanie się w grę, poprzez fachowe rady, recenzowanie itp. Teatr dostaje nagrody, niedawno został wyróżniony przez Ministerstwo Kultury ZSRR.

Slawiści lwowscy zorganizowali interklub „Slavin": odbywają się tu odczyty i dyskusje dotyczące kultury narodów słowiańskich — wiele wieczorów i spotkań poświęconych było kulturze i literaturze polskiej. Działa tu również zespół, który specjalizuje się w odtwarzaniu współczesnej piosenki polskiej, niezwykle popularnej obecnie na Ukrainie. Klub ten w najróżnorodniejszy sposób popularyzuje wiedzę o sąsiednich narodach słowiańskich.

Poloniści lwowscy na uniwersytecie oprócz pracy dydaktycznej zajmują się pracą badawczą. Dobrym przykładem świecił prof. Michał Onyszkiewicz, kierownik Katedry Filologii Słowiańskiej, zmarły w marcu br. Pozostawił po sobie szereg artykułów dotyczących fonetyki i leksyki polskiej, związków językowych polsko-ukraińskich, polonizmów w twórczości I. Franki, twórczości A. Mickiewicza, M. Konopnickiej itd. Wychował wielu dobrych specjalistów w zakresie filologii polskiej, którzy rozjechali się po całym Związku Radzieckim. Był on właściwie organizatorem powojennej polonistyki we Lwowie.

Można wymienić wielu pracowników naukowych, którzy aktualnie zajmują się problemami literatury czy języka polskiego.

Doc. Teoktysta Paczowskiego zajmuje sprawa tłumaczenia literatury ukraińskiej na język polski w XIX wieku. Liczne artykuły i studia na ten temat stanowią jego poważny dorobek naukowy.

Wł. Kułyk bada recepcję utworów Żeromskiego i Zapolskiej na Ukrainie oraz zbiera bibliografię tłumaczeń tych pisarzy. Iwan Łozyński pasjonuje się twórczością J. Tuwima i T. Boya-Żeleńskiego. Twórczość Z. Nałkowskiej jest tematem badań H. Rubanowej.

Irena Hryniew wykłada kurs historii literatury polskiej na uniwersytecie. Zajmowała się ona badaniem twórczości dramatycznej L. Kruczkowskiego, ostatnio zainteresowała się J. I. Kraszewskim, głównie zaś zagadnieniem ukraińskiej wsi w utworach Kraszewskiego. I. Hryniew opracowuje obecnie nowy podręcznik literatury polskiej dla szkół polskich na Ukrainie.

Jeśli jeszcze dodamy, że miesięcznik społeczno-literacki „Żowtień" stosunkowo często umieszcza materiały dotyczące spraw polskich, możemy mieć pewien obraz współczesnej polonistyki lwowskiej.

Studenci lwowscy w ciągu miesięcznego pobytu u nas wchłaniają wiele wiadomości dotyczących naszego kraju, jego języka i literatury. Chciałoby się, żeby poznając kulturę i język polski na miejscu, tym mocniej byli przekonani, iż ich rola w społeczeństwie ukraińskim — popularyzacja spraw polskich — ma głęboki sens.

M. L.

Jan Biesiada

Henryk Gołębiowski

Władysław Janik

Marian Maliszewski

Ryszard Michalski

Anna Rudko

Jan Winiarczyk

Już pomagają dobrą robotą

Dokończenie ze str. 1

się rozrastać, trzeba to było radykalnie zmienić. Oczywiście nie zarządzeniem, że produkcja motocykla jest równie ważna jak produkcja śmigłowców. To by niczego nie zmieniło. I właśnie wtedy narodziła się myśl o pracy bezusterkowej — metody Do-Ro jako takiej jeszcze nie było.

Janik: — W śmigłowcach, jak w całym przemyśle lotniczym, musi być zawsze najwyższa jakość. Znaki jakości w tej dziedzinie nie istnieją. A produkcja śmigłowców jest produkcją mało seryjną, występuje tu duża przemienność pracy, stąd do tego działu wybierano najlepszych. Motocykle były jakby przedsionkiem do zawodu, przyuczeniem. Niebagatelnym momentem w podjęciu metody bezusterkowej był też fakt, że motocykl to produkcja rynkowa. Mieliśmy więc stale uwagi od odbiorców, wśród nich od naszej załogi i ich najbliższych, całego otoczenia. Krytyczne uwagi mobilizowały ludzi do lepszej pracy, nikt przecież nie lubi pracować w fabryce, do której najbliżsi mają pretensje.

Winiarczyk: — Pamiętam rok 1968, produkcja nowego śmigłowca nie była jeszcze opanowana. Wtedy okazało się, że Wydział Motocykli, traktowany dotychczas jak pasierb, pracował na utrzymanie całego zakładu. Mówiono o tym dużo na zebraniu KSR, gdzie wreszcie ci od motocykli powiedzieli: nie chcemy być traktowani jako dodatek. Dodatkowym elementem był fakt, że właśnie wyprodukowaliśmy 500-tysięczny motocykl. Było o tym głośno w kraju, to nas jeszcze bardziej podbudowało. Była więc atmosfera, aby podjąć się trudniejszej, bardziej odpowiedzialnej, ale i dającej większą satysfakcję metody. Na jakimś zebraniu ktoś jeszcze powiedział, że robotnik ze Świdnika psuje krew chłopu, bo chłopi — którzy właśnie stawali się naszymi głównymi odbiorcami — narzekali najwięcej na nasze motocykle. To nas w pierwszej chwili zgniewało, ale potem uświadomiliśmy sobie, że mają racje, więc trzeba im te argumenty wytrącić z ręki — ale lepsza produkcja.

Michalski: — Zajęliśmy się więc bliżej sferą eksploatacji. W porozumieniu z CRS zorganizowaliśmy dwutygodniowy rajd po budowach dwudziestopięciolecia, w maju br. drugi. Na motocyklach jechali pracownicy kontroli i głównego konstruktora oraz użytkownicy. Zebraliśmy wiele uwag, pozytywnych i negatywnych, co nam się przydało w dalszej pracy.

Winiarczyk: — Szkoda tylko, że nie było nikogo z produkcji, z tych, którzy te motocykle robili.

Gołębiowski: — Wśród imprez, które z okazji rajdu zorganizowała CRS było wiele spotkań z użytkownikami, gromadzących nieraz po kilkaset ludzi. Naprawdę większość wypowiedzi była krytyczna. Wkrótce dostaliśmy list od jakiejś kobiety, która zapytywała, jakie części zamienne ma zabrać ze sobą na dłuższy wyjazd. Ponieważ nie podała żadnej trasy, posłaliśmy kilka wariantów. Po kilku tygodniach otrzymaliśmy od niej wycinki z prasy kilku krajów zachodnich, przez które przejechała i w których propagowała nasze motocykle. I była bardzo zadowolona, gdyż z zabranych części prawie nic nie było potrzebne.

Dostatni: — A jednak do waszych motocykli są różne pretensje...

Janik: — My jeździmy na japońskich, włoskich, czeskich, węgierskich, austriackich czy hiszpańskich. Różnice dotyczą głównie galanterii oraz uzyskiwanej mocy. Ale gdy chodzi o żywotność, to poza łańcuchami, w zasadzie nie ma żadnej. Podkreślam, że do naszych motocykli właśnie wprowadzamy teleskopy Armstronga. A łańcuchy, zwłaszcza te kupowane w sklepach, są źle konserwowane.

Michalski: — Nie zawsze też motocykl jest właściwie użytkowany. W Augustowie na spotkaniu ktoś żalił się, że nie może osiągnąć szybkości 80 km/godz. Okazało się, że w okresie docierania jeździł wyłącznie pierwszym biegiem pierwsze 200 km, następne 300 km tylko drugim biegiem. Tego nie wytrzyma żaden motocykl świata.

Rudko: — Ja dawniej pracowałem przy zakładaniu łańcuchów, teraz montuję na taśmie automaty stop. W WSK jestem zatrudniona już 6 lat, zarabiam netto 1800 zł. W ogóle praca przy taśmie polega na dokręcaniu różnych części, chodzi o to, aby dobrze dokręcać. Pozornie ćwierć czy nawet pół obrotu mniej lub więcej nic nie znaczy, w praktyce to jednak dużo. Wprawdzie wszystko jest wyliczone i odmierzone, ale trzeba jeszcze mieć jakieś wyczucie w palcach, jakiś ukryty nerw, który natychmiast reaguje, gdy tylko powstaje drobna niedokładność.

Dostatni: — A jak z tą samokontrolą produkcji?

Rudko: — To sprawa i kwalifikacji i poczucia obowiązku. Ja od początku nie miałam zbyt dużo braków, ale teraz jest ich jeszcze mniej. No bo jeżeli mnie ufa fabryka, a przez nią i załoga i użytkownicy, to nie mogę zawieść ich zaufania.

Gołębiowski: — Biesiada uciekł kiedyś z działu kontroli mówiąc: oni tam robią dużo bubli. Mnie zawsze irytowało to powiedzenie: oni. Ten ton nie budził szacunku, a przecież „oni" to była ta sama fabryka, ta sama załoga. Mistrz Biesiada jest jednym z tych, którzy wdrażali nową metodę. Czy dzisiaj, będąc w produkcji, ogląda się na brakarzy, tak jak kiedyś oglądali się na niego?

Biesiada: — W kontroli jakości pracowałem 12 lat, tam poznałem wszystkie detale i montaż. Inżynier Gołębiowski potrafił podczas operatywek wyrobić w nas szacunek dla pracy. Tego uczucia przez długi czas nie doceniałem. Razem z innymi chodziłem na kurs o Do-Ro, lecz trzeba powiedzieć prawdę, że na początku nie wszyscy orientowaliśmy się w pełni, o co chodzi. Ale gdy już się zaczęło, gdy były widoczne pierwsze efekty, nie było kłopotów z przekonywaniem innych. Dzięki tej metodzie ja osobiście mam mniej pracy niż dawniej, myślę że inni także. Jeżeli jeszcze trafi się jakiś zły detal, pracownicy sami go odrzucają wiedząc, że w ostatecznym rachunku to się zawsze opłaci. Brakarze przestali być dla nas biczem bożym, samokontrola działa rzeczywiście.

Winiarczyk: — Jeżeli zdarzyła się jakaś awaria, zwłaszcza pod koniec miesiąca, gdy chodziło o pełne wykonanie planu, to dawniej przeszwarcowało się jakiś zły detal. Wszyscy o tym wiedzieli, kierownicy też — i wszyscy w imię planu przymykali oczy. A dzisiaj, gdy ktoś próbuje coś podobnego, ludzie zaraz mówią: coś ty, chcesz nam psuć opinię? Kierownik mówi, że nie wolno, ty sam też tak oficjalnie mówisz, a chcesz robić inaczej? Myślę, że to dobra szkoła obywatelskiego i gospodarskiego podejścia.

Janik: — Najcenniejsze jest chyba to, iż załoga robi tak z pełnym przekonaniem. Rozumowano kiedyś tak: ja mam zrobić to czy tamto, o jakość niech się martwi mistrz czy kontroler, im za to płacą. Dzięki wprowadzeniu samokontroli mogliśmy cały aparat kontroli zmniejszyć z 12 proc. ogółu zatrudnionych do 9 proc., a są warunki po temu, aby w stosunkowo niedługim czasie jeszcze obniżyć ten aparat do 6 proc.

Gołębiowski: — Pracownik przeprowadzający samokontrolę własnej produkcji otrzymuje dodatek 10 proc. do poborów. Sądzę, że trzeba będzie pomyśleć, aby ten dodatek zwiększyć. To się wszystkim opłaci.

Winiarczyk: — Ja byłem głównym przeciwnikiem metody Do-Ro. Gdy inż. Gołębiowski zorganizował kurs, chodziłem, nie opuściłem żadnego wykładu, ale wciąż byłem przekonany, że w naszych warunkach to nie będzie realne. Dosyć długo trwało, zanim się przekonałem, że nie mam racji, że tzw. „nasze warunki" to zasłona, za którą często kryjemy własną nieumiejętność czy niechęć do czegoś nowego, co zakłóca „normalny" tryb pracy. Zapominamy tylko, że to, co kiedyś było normalne, to pewnego dnia staje się nienormalne, szkodliwe. Teraz zawarłem z inż. Gołębiowskim sojusz. Pewnego dnia sam wystąpiłem z twierdzeniem, że jeżeli mówimy o jakości wyrobów, to przede wszystkim musimy mówić o jakości człowieka i jakości każdego fragmentu wykonywanej przez niego pracy. Albo taki niby drobiazg. W swoim gnieździe miałem dużo kobiet. Jak to zwykle — były ploteczki, czasem nawet awanturki. Zdołałem przekonać je, że psucie atmosfery w grupie to także zła praca, która musi być ujemnie oceniana, że to nawet wpływa na wysokość premii, która przecież zależy od dobrej pracy. Zrozumiały to i teraz jest święty spokój, a robota dobra.

Janik: — Tak, na dobrą produkcję składa się nie tylko konstrukcja, technologia, wykonawstwo, kooperacja, dyscyplina pracy, wydajność pracy — ale i to wszystko, co określamy humanizacją pracy, od kwiatka w hali, poprzez czystą podłogę, do odpowiedniej atmosfery. W ocenach nigdy nie dopracujemy się ideału. Ale myślę, że w okresie przygotowywania i wdrażania kompleksowego sterowania jakością, dopracowaliśmy się najpierw względnie obiektywnych zasad oceniania ludzi, a następnie takich właśnie ocen, które przeprowadzamy co miesiąc. Trudno np. porównywać bezpośrednio pracę szefa produkcji i montera. Ale każdej oceny dokonujemy jawnie. Każdy wie, za co i ile punktów ujemnych dostał, zresztą te punkty stawia się w obecności zainteresowanych i po rozmowie, czasem zaciętej dyskusji, w której bierze się pod uwagę i warunki obiektywne i subiektywne. Dzięki temu powstaje rzeczywiście spontaniczne współzawodnictwo. Myślę, że jest to bardziej sprawiedliwe niż wtedy, gdy raz na rok zbierał się tzw. kolektyw i każdy na siłę przypominał sobie, co dobrego lub złego można powiedzieć o pracowniku. Oceny często były niepełne, a przez to niesprawiedliwe, co miało fatalne skutki psychologiczne, bo niesprawiedliwa ocena często demobilizowała. Nowa metoda weszła w życie 2 kwietnia 1970 roku po podpisaniu porozumienia między KSR a dyrekcją zakładu. Początkowo ludzie nie wierzyli, że dyrekcja dotrzyma zobowiązań w postaci 45 wycieczek zagranicznych, 45 bezpłatnych wczasów i 90 nagród pieniężnych. Dziś już większość nagród jest rozdzielona, otrzymali je kolejno ci, którzy nie mieli wcale, albo mieli najmniej punktów ujemnych, bez względu na zajmowane stanowisko. W sprawie rozdziału nie miałem żadnej reklamacji.

Biesiada: — W tych miesięcznych ocenach początkowo zbyt szafowałem ujemnymi punktami, nie wchodząc w przyczyny takiej a nie innej pracy. Moim błędem było wtedy również to, że nie od razu mówiłem ludziom, za co takie punkty otrzymują. Były z tego powodu pretensje, dotarły nawet na posiedzenie egzekutywy POP. Kierownik wydziału upewnił mnie, że oceny są dobre, ale rzecz polega na tym, aby ich dokonywać wspólnie z pracownikami i to zaraz, a nie po jakimś czasie. No i pretensje znikły, a tych punktów ujemnych jest stale coraz mniej.

Winiarczyk: — Życie koryguje nasze początkowe regulaminy. Tak np. nie dajemy już punktów ujemnych za to, że ktoś nie zrobił wniosku racjonalizatorskiego, bo przecież nikt nie musi być racjonalizatorem. Ale jeżeli np. za spóźnienie dajemy 10 punktów ujemnych, a za wniosek racjonalizatorski 50 punktów dodatnich, to ludzie starają się te wnioski składać, jeżeli już nie z innego powodu, to aby „odpracować" te spóźnienia. To znów opłaca się wszystkim.

Maliszewski: — Techniczne przygotowanie produkcji to nie tylko technika. W metodzie Do-Ro jest nawet odwrotnie, strona techniczna to jakieś 20 proc., natomiast psychologiczna to aż 80 proc. W okresie przygotowawczym działały u nas zespoły robocze — byłem przewodniczącym jednego z nich — oceniające sytuację w przedsiębiorstwie. Sprawdziliśmy drobiazgowo dokumentację konstrukcyjną i technologiczną, a także porównaliśmy je z tym, co robi w wydziale kierownik, brygadzista, pracownik, kontroler. Okazało się, że było wiele różnic, wynikających z nieumiejętności, braku dbałości, braku niektórych urządzeń czy wreszcie kwalifikacji. Sprawdziliśmy wszystkie obrabiarki, narzędzia, urządzenia. Była to wielka akcja weryfikacji teorii i praktyki. W drugim etapie usuwaliśmy wszystkie dostrzeżone braki i „odchyłki", wymieniono trochę maszyn, dużo narzędzi. Na wniosek pracowników bezpośrednio produkcyjnych wprowadzono do dokumentacji konstrukcyjnej motocykla 48 zmian, a do technologicznej 152, nie licząc zmian wprowadzonych drogą służbową przez powołanych do tego ludzi. W ten sposób ujawniła się rzeczywista inicjatywa załogi, jej zaangażowanie w sprawy zakładu i jakości produkcji. Potem z każdym pracownikiem podpisaliśmy umowę o ścisłym przestrzeganiu wymogów konstrukcji i technologii.

Gołębiowski: — To są efekty, jak sądzę, prawidłowego stymulowania chęci ludzi do dobrej pracy, wykorzystania ich możliwości przez stworzenie warunków do ujawnienia tych możliwości. Np. obok jedynej dawniej taśmy głównej montażu powstało kilka taśm pomocniczych i pewnych detali nie trzeba już nosić z gniazd. Kiedyś olej nalewano ręcznie, teraz jest przyrząd dozujący, dzięki czemu olej jest czysty i w prawidłowej ilości. Każdy pracownik sam oczyścił swoje stanowisko pracy, upiększył je i nadal dba o nie.

Dostatni: — Mówiliśmy tu o wielu sprawach, które złożyły się na wasze piękne osiągnięcie. Proszę, aby na zakończenie pan dyrektor podał nam konkretne efekty, jakie metoda Do-Ro przyniosła — ludziom i przedsiębiorstwu.

Janik: — Najważniejsze jest chyba to, że uzyskaliśmy duże zaufanie u odbiorców. Świadczą o tym wymownie dwa fakty. „Polcargo" zrezygnowało z przeprowadzania własnego odbioru motocykli, przeznaczonych na eksport. I mimo to w tym dziale żadnej reklamacji nie było. Koszty reklamacji krajowych spadły o 5 mln zł, a koszty napraw gwarancyjnych o 500 tys. zł. Więc motocykle są rzeczywiście lepsze — nie mówię tu o nowym typie, który dopiero teraz wchodzi do produkcji. Zarobki grupy robotników produkcyjnych wzrosły przeciętnie o 236 zł miesięcznie, a grupy dozoru o 224 zł miesięcznie. Wydajność pracy zwiększyła się o 20 proc. W dziale wyrobu motocykla 194 pracowników posiada już stemple samokontroli, a w całym przedsiębiorstwie 800. Mamy już 28 pracowników, którzy są nie tyle kontrolerami jakości, ile rzeczoznawcami kontroli jakości — już nie tylko kontrolują, ale wyciągają z tego szerokie wnioski, konstrukcyjne, technologiczne, ekonomiczne, ludzkie itd.

Chciałbym jeszcze podkreślić dużą dojrzałość, prawdziwe zaangażowanie, inicjatywę i śmiałość koncepcji zespołu ludzi, którzy tę metodę dla naszego zakładu opracowali i ją wprowadzali. Na szczególne wyróżnienie zasługuje tu inż. Gołębiowski, inicjator i główny „sprawca" u nas tej metody, następnie, obok wszystkich tu obecnych — główny technolog mgr inż. Kazimierz Pietrzyk, inżynierowie: Roman Podolak i Jerzy Rebajn z Zakładu Doświadczalnego, którzy potrafili przygotować uściślone warunki na dostawy kooperacyjne i stworzyć warunki do szybkiego badania zespołów kooperowanych, co także dostawców zmusiło do podniesienia jakości. Dalej inż. Stanisław Byczko, inż. Władysław Czuwaj, inż. Tadeusz Ochnik, mistrz Adolf Drabek, robotnicy: Władysław Dębski, Wacław Lisicki i tak wielu innych, że nie sposób wszystkich tu wymienić.

Relację spisał
Jerzy Dostatni

Nie chodzi o to, żeby tak jak drzewa szumieć,
lecz żeby rosnąć — i w konary i w korzenie
i żeby chcieć i żeby móc i żeby umieć,
i jeden rytm na rusztowaniu i na scenie.
I punktualnie, żeby wszystko nie później
no i rzetelnie — każdy szczegół, z całej mocy,
żeby piosenka, żeby humor, żeby uśmiech,
wtedy robota jak ze złota, moi drodzy.

K. I. Galczyński

Wiesław Kazanecki

akt

z twarzą przy trawie leżę jest dobrze
zieleń prześwietlona słońcem zasłania pole widzenia
źdźbło mąci perspektywę
żylaste w zbliżeniu do źrenicy
jeszcze dosięgnąć wargami przegryźć w połowie zostawić
rozchwiany
kikut
z wiatrem na karku umykać łąką w stronę lasu
drzewom dodać tętentu własnych obutych stóp
przycisnąć policzek do kory zadrasnąć o szorstki pień
gałęzie nauczyć gestów ludzkich aż do złamania
jest dobrze więc promień słońca owinąć dokoła przegubów
rozhuśtać się nad ziemią — — —

a to są ramiona dziewczyny zatrzaśnięte na moich barkach
paznokcie warane w skórę i krzyk roztrzaskany o sufit
opada już łagodnie na spadochronie ciszy

więc patrzę
biodro oprawione w krawędzie tapczanu
jak na obrazie Goi łasi się do wzroku

Białystok

Kamena str. 3

Cyprian Norwid w przekładach Jana Pilara

Jiří Damborský

O CYPRIANIE Norwidzie utarło się przeświadczenie, zresztą nie tylko wśród tłumaczy czeskich, iż jego twórczość jest tak oryginalna i niepowtarzalna, że właściwie nieprzekładalna na inne języki. Z drugiej zaś strony wiadomo powszechnie, że właśnie ta sama oryginalność i niepowtarzalność była równą przeszkodą w przyjmowaniu jego poezji na gruncie polskim, wśród własnych rodaków tego wielkiego mistrza pióra. Trudno znaleźć w historii kultury i literatury polskiej postać bardziej pokrzywdzoną niż właśnie on. A jednak twórczość jego od dawna pociągała, fascynowała, aż wreszcie doczekała się pełnej rehabilitacji, zarówno w ojczyźnie jak również w przekładach czeskich.

Ten wielki poeta polski, którego słusznie stawia się w jednym szeregu z narodowymi wieszczami, znany był w środowisku czeskim właściwie z jednego, wprawdzie ambitnego, ale małego wyboru liryków, które pt. „Marmury i blaski" wydał w wydawnictwie praskim „Mladá fronta" w 1968 r. tłumacz Václav Renc. Niespełna dwa lata później doczekał się Norwid innego znakomitego interpretatora w postaci poety i jednocześnie jednego z najznakomitszych tłumaczy polskiej poezji, Jana Pilara. Kto weźmie do ręki jego najnowsze tłumaczenia Norwida zawarte w wyborze pt. „Czarne kwiaty" *) łatwo zauważy, jakiego wspaniałego dzieła dokonał Jan Pilar, przyswajając literaturze czeskiej *jednego z największych i najoryginalniejszych poetów europejskich XIX stulecia*, jak nazwał Norwida J. W. Gomulicki w przedmowie do „Dzieł zebranych" (PIW 1966).

Pilar, przystępując do tłumaczenia Norwida parę lat temu, pisał w dwumiesięczniku „Svetova literatura", że i on chce się włączyć w ogólny nurt zdążający do zrehabilitowania Norwida *wbrew piętrzącym się barierom językowym i historyczno-kulturalnym*.

W Czechach Norwdia znano już dawniej, istnieją bowiem (co prawda nieliczne) przedwojenne próby tłumaczenia jego poezji przez jednego z najznakomitszych poetów czeskich, Jana Zahradnicka, dalej zasłużonego tłumacza literatur słowiańskich, w tym również poezji polskiej, O. F. Bablera. Interesował się Norwidem chyba największy z żyjących poetów czeskich, Vladimir Holan, istnieje wreszcie świetny powojenny wybór wspomnianego V. Renca. Dodajmy, że już w latach dwudziestych zasłużony polonista Frantisek Kvapil przygotował antologię polskich poetów pt. „Polská moderní poezie" i w tomie pierwszym tego trzytomowego dzieła znalazł się również Norwid. Przekłady Kvapila pozostawiają jednak dzisiaj wiele do życzenia, gdyż utrzymane są w kanonie klasycznej poetyki schyłku wieku XIX.

Tak więc mimo wszystko szukano i odnajdywano w poezjach Norwida coś, co nieobce jest odczuciu czytelnika czeskiego, coś, co mogłoby się włączyć w literaturę czeską, wzbogacając ją o nowe wartości. Tłumaczom chodziło o wydobycie głęboko humanistycznych i narodowych treści jego poezji.

Pilarowski przekład Norwida, noszący znamienny tytuł „Czarne kwiaty", wyszedł w popularnej biblioteczce Klubu Przyjaciół Poezji. W biblioteczce tej ukazują się najlepsze dzieła światowych i czeskich klasyków w nowoczesnych tłumaczeniach i w krytycznych wydaniach, zawsze w doskonałej oprawie graficznej i z rzetelnym komentarzem, z przypisami, notkami i materiałami biograficznymi. Większość tu wydanych tomów zaopatrzona jest również w mikropłytę z deklamacjami czy to samych twórców, czy przednich aktorów scen czeskich. Jest to jedna z najpopularniejszych form szerzenia znajomości poezji rodzimej i obcej, szczególnie wśród młodych miłośników poezji. Przy okazji warto odnotować, że w tymże Klubie Przyjaciół Poezji Jan Pilar wydał w 1963 roku Gałczyńskiego „Zaczarowaną dorożkę" z ilustracjami V. Tesara, zaś w roku 1966 „Tańczącego Sokratesa" Tuwima, z doskonałymi ilustracjami A. Hoffmeistera. Obie pozycje stały się wydarzeniami na dużą skalę.

Norwidowski wybór „Czarne kwiaty" nazwał Pilar w notce *pierwszą szerszą próbą zapoznania czeskich miłośników poezji z Norwidem w nadziei, że możliwe będzie później poszerzenie wyboru nie tylko o poezje, lecz również o pierwszorzędną korespondencję, z której niektóre fragmenty przytoczyłem.*

Co się składa na tom? Wstępny esej pióra Jana Pilara, zaznajamiający z biografią i twórczością Norwida. Potem, oczywiście, wiersze, wśród których znajdują się tak głośne utwory jak m. in. „Fortepian Chopina", „Bema pamięci rapsod żałobny", „Do obywatela Johna Browna", „Pióro", „Żydowie polscy", „Modlitwa", „Piosenka", „Spartakus" itd. Zajmują one prawie dwie trzecie tomu. Dalej następują: Kronika życia Cypriana Norwida, fragmenty jego korespondencji z przyjaciółmi w kraju i za granicą, fragmenty jego myśli, głosy i wypowiedzi o Norwidzie oraz notka tłumacza.

W sumie Pilar dał przekłady w nowoczesnej, oryginalnej interpretacji. Cechuje je wierność (tak trudna do osiągnięcia!) wobec oryginału, a przy tym śmiałość i swoboda twórcza, zezwalająca na licencje. Nie chodzi jednak wcale o licencje „niezależne", tylko o udatne, dobrze zharmonizowane z oryginałem, z jego nastrojem i duchem. Może jedno dałoby się tylko Pilarowi wytknąć, że w porównaniu z przekładami Gałczyńskiego widać mniej inwencji w poszukiwaniu słownictwa. Może tłumaczowi bardziej odpowiada właśnie bardziej śpiewna, „obywatelska" poezja Gałczyńskiego, plastyka jego wyrazu, energia i siła słów, niż rozbiegana fantazja Norwida? Pilar wykazał jednak duży zmysł artystyczny, widoczny w opanowaniu formy, rytmu i rymu.

Droga dla poezji norwidowskiej do czytelnika czeskiego została już na zawsze przetarta. Ktokolwiek zetknie się z tą poezją, niewątpliwie dozna przy jej lekturze wspaniałych odczuć. W wierszach Norwida znajdzie niezastąpiony wyraz dla własnych myśli i rozważań, znajdzie w nich to, co jest piękną szkołą głębokiego umiłowania ludzkości i ojczyzny, co przeniknięte jest powagą spraw ludzkich.

*) C. Norwid, Cerne kvety. tl. Jan Pilar. Z rysunkami C. N. Wyszło jako 2 tom X rocznika Klubu Przyjaciół Poezji w wydawnictwie Ceskoslovensky Spisovatel, Praga 1970, s. 122 11.500 egz.

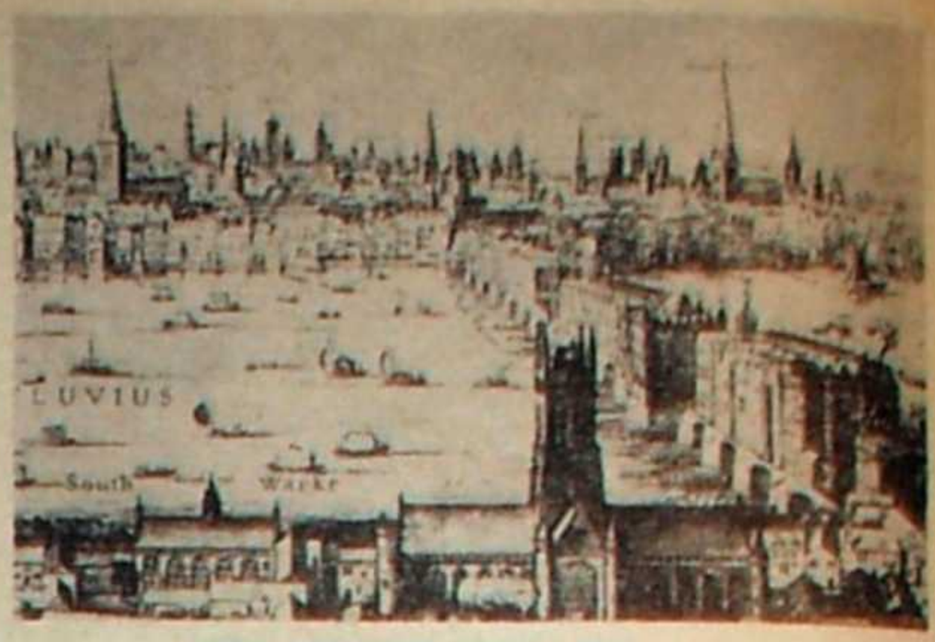

Londyn przed wielkim pożarem w 1666 r.

Wojaże młodego magnata (2)

Adam A. Witusik

KRÓL Anglii Jakub I, podbity dowcipem i uprzejmością Tomasza Zamoyskiego, zapraszał go często na polowania i bankiety, nie omieszkał powiedzieć mu także o książce Cichockiego, ba — przesłał mu nawet jej egzemplarz. Na prośbę Zamoyskiego, Jakub I zwolnił z więzienia kilku angielskich katolików — m. in. niejakiego księdza Fludd, który był trzymany w więzieniu Gatehouse. *U króla Jakuba w wysokim był poważaniu* — pisał o hetmanowicu Żurkowski — *u niego częste miewając audiencyje. Z synem jego Karolem na łowy częstokroć jeździł. Na którą zabawę konie zawsze królewskie i dla samego pana i dla sług jego dawano. Królowi Jakubowi darował pan kitę czapką kosztowną.* Nie mniej kosztownym prezentem obdarował Tomasza Zamoyskiego Jakub I. Młody Zamoyski otrzymał od króla medalion z obu stron diamentami oprawny z miniaturowymi portretami Jakuba I i jego małżonki.

Podczas pobytu w Londynie Tomasz moc czasu poświęcał na nawiązywanie znajomości. *Z wielą przedniejszych dworu tego urzędników poznawając się* — stwierdzał Żurkowski — *nie tylko ich swą chęcią i chlebem, na którym ich często miewał, sobie dewinkował* (= zobowiązał), *ale i upominkami różnymi ku przyjaźni pociągał.* Młody magnat chłonąc uroki londyńskiego dworu nawiązał wiele interesujących stosunków, między innymi zapoznał się z ambasadorami Francji, Hiszpanii i Wenecji.

Swego pobytu w Anglii Tomasz Zamoyski nie ograniczył tylko do Londynu. Chcąc bliżej poznać kraj, wybrał się w podróż po wyspie. Ta trwająca około dwóch miesięcy wędrówka na pewno dała mu wiele. Zobaczył kraj o bardzieje rozwiniętej niż Rzeczpospolita strukturze ekonomicznej, kraj manufaktur, kopalń, portów i stoczni. Wówczas to mógł się naocznie przekonać, jak ułomna była gospodarka Rzeczypospolitej, bez własnego, odpowiednio silnego przemysłu. Nabyte podczas tej wędrówki doświadczenia miały później owocować w kraju. Exemplum: w 1623 r. wydał Tomasz Zamoyski grupie Żydów sefardyjskich przywilej na założenie w Zamościu tkackich warsztatów sukienniczo-jedwabniczych.

Do Francji — do Tours, gdzie bawił wówczas król Ludwik XIII, przybył Tomasz Zamoyski zapewne w pierwszych dniach marca 1616 r. Tu, w Tours, otrzymał od Ludwika XIII list żelazny, nakazujący urzędnikom i wszystkim swym poddanym udzielać mu w czasie podróży wolnego przejazdu i pomocy. Z Tours udał się hetmanowic do Orleanu, gdzie zatrzymał się zapewne kilkanaście lub kilkadziesiąt dni, a stąd do Paryża. Pobyt jego w stolicy Francji był nadzwyczaj pracowity: uczył się języka francuskiego, *przysłuchiwał się sądom w parlamencie*, bywał *w akademiach na różnych ak-*

Dokończenie na str. 6

Dokończenie ze str. 1

dzenia działalności artystycznej. Po zdanym egzaminie utworzyli Zespół Pieśni i Tańca Cyganów Mołdawskich przy Filharmonii w Taszkencie. Dostali mieszkanie w dzielnicy Salar i kartki żywnościowe I kategorii, jak wszyscy zawodowi artyści. Zaczęli występować w całej republice. Jeździli pociągiem, samochodem, a czasem do odległego kiszłaku na grzbietach wielbłądów. Vasil, który dotychczas znał język cygański i rumuński oraz trochę węgierski i polski, poznał teraz rosyjski i nieźle uzbecki. Zachodził do czajchanów, gdzie siedząc z podkulonymi po turecku nogami popijał zieloną herbatę.

Na początku roku 1943 zlikwidowali stałą siedzibę i wyruszyli na objazd ZSRR. Domem ich stały się trzy nieźle wyposażone wagony kolejowe.

Wtedy Vasil jako pierwszy człowiek w grupie nauczył się czytać, następnie pisać. Po rosyjsku. A miał 44 lata. Musiał się nauczyć. Przedtem nigdy nie było mu to niezbędne. Teraz bez tej umiejętności nie mógłby sobie dać rady w podróżowaniu na czele dużego zespołu po niezmierzonych przestrzeniach ZSRR. Uczyli go po drodze kolejarze, żołnierze, kelnerki. Nie przyszło mu to łatwo. Nigdy nikt z jego rodziny, ani jego rodu, nie trzymał zadrukowanego papieru ani ołówka w ręku. Gdy się nauczył, został natychmiast lektorem i nauczycielem. Cyganie kupowali gazety, dawali mu je i żądali: łacy, ginawrona — poczytaj Vasil. I żądali, żeby ich uczył. Zanim skończyła się wojna, wszyscy młodzi umieli już czytać i pisać. Władysławowi szło to nawet sprawniej niż ojcu.

Koniec wojny przyniósł im tragiczną wiadomość: siostry i bracia Vasila, którzy pozostali w Rumunii, a także ich rodziny i rodziny innych ludzi z jego grupy, zostały co do jednego wymordowane przez Niemców, ich siedziby zniszczone. W 1946 roku przyjechali do Lwowa na ostatnie występy w ZSRR. Potem mieli wracać w rodzinne strony. Załatwiali już formalności, a jednocześnie zastanawiali się: do kogo? gdzie? Tymczasem znajomi Polacy, szykujący się do repatriacji, namawiali ich na wyjazd do Polski. Na zachodzie całe miasta czekają na zasiedlenie. Ludzi brak. Artyści też przydadzą się. Vasilowi trafiały te argumenty do przekonania. Zmęczyła go rola przelotnego ptaka. Już wcześniej, gdy po koncercie w Moskwie podszedł do niego Cygan-inżynier, a w Odessie Cygan-ekonomista, zaczynał wątpić w celowość dotychczasowego życia. Na ostateczną decyzję wpłynęły wiadomości z Polski, że ich krewni przeżyli tu okupację, ukrywając się przy pomocy Polaków. Zgłosił się do polskiego biura repatriacyjnego we Lwowie. 30 rodzin Cyganów otrzymało prawo osiedlenia się w Polsce.

Wasyl Michaj

Fot. H. Chwiejczak (CAF)

Za dużo na

Tymczasowo zamieszkali w Wawrze pod Warszawą. Otrzymali obywatelstwo polskie, spolszczyli pisownię nazwisk, Vasil Mihai został Wasylem Michajem i napisał podanie do Ministerstwa Kultury i Sztuki o przyznanie jego grupie prawa do występowania na estradzie. Po egzaminie wyruszyli na objazd. Wasyl w czerwonej jedwabnej koszuli, szerokich błękitnych spodniach wpuszczonych w buty z cholewami, przepasany szerokim pasem, w kaftanie ze srebrnymi guzami, śpiewał solo słynną „Pralotkę": Ame Roma kamas talame zełenowurdom... My Cyganie marzymy o czerwonym wozie... Nina tańczyła i śpiewała w chórze. Syn Władysław grał na gitarze i śpiewał. Powodzenie mieli duże.

Wasyl wyśpiewywał marzenia o czerwonym wozie. Faktycznie jednak marzył o czym innym. Sam jeszcze nie miał sprecyzowanego pomysłu, ale to miało być coś zupełnie innego.

W roku 1951 w katastrofie motocyklowej zginął Władysław. Występy odwołano na kilka dni, potem na kilka tygodni. Gdy wreszcie zespół „Roma" zaczął ponownie koncertować, wystąpił w znacznie zmniejszonym składzie. Nie było w nim Michaja i jego żony. Kierownikiem został Pomarańcz Madziarowicz, brat cioteczny Wasyla. On sam zaś razem z innymi utworzył spółkę kotlarską. Zaczęli się rozglądać za odpowiednim lokum. W Lublinie na Bronowicach znaleźli mały placyk i poniemiecki barak. Władze przydzieliły im ten obiekt. Placyk był jednym rumowiskiem, na środku straszył wielki dół po bombie, tak głęboki, że gdy po silnym deszczu zbierała się w nim woda, mógłby się tam utopić dorosły człowiek. Barak nie mógł pomieścić 19 rodzin. Kupili więc kilka krytych wozów konnych. Znów palili ogniska, bo w baraku nie było kuchni. Zaczęli porządkować teren, grodzić, sadzić drzewka, budować dwa dalsze baraki. Wasyl założył w swoim mieszkaniu telefon. I od razu dostali zamówienia na roboty. A kiedy wykonali pierwsze, solidnie i terminowo, następne sypnęły hurtem. — Widzicie, zarobek będzie — powiedział Michaj. — A gdybyśmy jeszcze z 5 lat tylko występowali, zapomnielibyśmy jak się powinno dobrze pobielać kotły.

W ten sposób, do niedawna śpiewak i konferansjer „Romy", w wieku 32 lat objął kierownictwo spółki rzemieślniczej. Spadło na niego załatwianie spraw w urzędach i bankach, przyjmowanie zamówień.

Kamena str. 4

Gdy stolicy nie słychać

W RAJGRODZIE lało. Lało i w Augustowie. Cholerne lato. Mój gospodarz patrzył na kaprysy pogody filozoficznie: przyroda jest konsekwentna — powiadał. W maju było lato — to w czerwcu i w lipcu musi być maj! Do diabła z taką konsekwencją!

Wziąłem na wczasy radio. Nowoczesne. Tranzystorowe. W dodatku japońskie. Rozczarowało — niczym pogoda. Po prostu nie grało. Nie to, żeby nie odbierało żadnych stacji. Wręcz przeciwnie. Odbierało wszystko — poza Warszawą. Tę można było słuchać jedynie, kiedy retransmitowała stołeczny program radiostacja w Białymstoku. Gospodarze dziwili się mojej niewiedzy: jak to, to pan nie orientował się, że tu odbieramy moskiewski program lepiej niż warszawski?...

Faktycznie, nie orientowałem się, że wystarczy wyjechać 250 kilometrów od stolicy, aby rozgłośnię raszyńską trzeba było podsłuchiwać a nie słuchać. W Ministerstwie Łączności, gdzie rozmawiałem później na ten temat, przedstawiono mi wykresy, z których wynikało czarno na białym, że znalazłem się po prostu w jednym z tzw. martwych pól, gdzie nie dociera program polskiej radiofonii. Nie jest tych pól wcale mało jeśli się przyjmie, iż nadawane obecnie 19—20 godzin na dobę trzy programy radiowe emitowane na różnych zakresach fal obejmują zasięgiem względnie dobrego odbioru nie więcej niż 54 proc. ludności na falach średnich, 73 proc. ludności na falach długich i 71 proc. na falach ultrakrótkich. Nie lepiej przedstawia się również sprawa jeśli chodzi o program telewizyjny. Istniejąca sieć 19 nadawczych stacji telewizyjnych większej mocy, uzupełniona czterema nadajnikami małej mocy i ponad 70 przemiennikami lokalnymi, zapewnia możliwość dobrego odbioru pierwszego programu telewizji tylko... 65 proc. ludności!

To u nas, w kraju. A jak jest gdzie indziej? Nie łudźmy się. Nie słyszą nas nie tylko w wielkich ośrodkach polonijnych za oceanem, ale na znacznych obszarach Europy i basenu Morza Śródziemnego. Mr Sikora, jeden z wielu „dyrektorów" tzw. rozgłośni polskich w Chicago, który własnym sumptem przygotowuje i emituje programy dla tamtejszej Polonii, twierdzi, że mógłby rozszerzyć czas pracy swojej radiostacji, gdyby istniała szansa dobrego odbioru Warszawy. Po prostu — mówi — dzięki odpowiednim urządzeniom wzmacniającym mógłbym rejestrować co ciekawsze audycje Warszawy i nadawać je u siebie, w Chicago. Niestety, mr Sikora i kilkunastu jemu podobnych dyrektorów prywatnych rozgłośni polonijnych w Chicago, Milwauke i Bostonie zdanych jest jedynie na polską prasę...

Tak więc sytuacja w wielkim dziale środków masowej informacji, w radio i telewizji, nie była i nie jest najlepsza. I to nie tylko w zakresie tego, co nazywamy odbiorem lub zasięgiem odbioru, lecz również w samej bazie, w wyposażeniu technicznym naszych ośrodków radiowo-telewizyjnych, w sprzęcie, którym posługują się dziennikarze, reporterzy, sprawozdawcy itp. Trzeba sobie bowiem jasno powiedzieć, że mimo poważnych wysiłków w kierunku modernizacji tej bazy, zaplecza technicznego radiofonii i telewizji, mimo budowy wielu nowych ośrodków takich jak np. warszawskie, krakowskie lub katowickie telecentrum — mamy jeszcze w kraju 13 rozgłośni radiowych i ośrodków telewizyjnych, m.in. w Poznaniu, Gdańsku, Łodzi i Szczecinie, mieszczących się w obiektach starych, adaptowanych lepiej lub gorzej do swej nowej funkcji.

A sprawa wyposażenia? Dyrektor TVP do spraw koordynacji — Witalis Jankowski mówi, że kiedy przyjdzie nam rejestrować jakiś program przekazywany przez Interwizję, dosłownie modlimy się, aby nie wysiadł jeden z dwóch będących w naszej dyspozycji videomagnetofonów. Tymczasem jest to urządzenie, bez którego trudno sobie dziś wyobrazić nowocześnie pracujący ośrodek telewizyjny. Technika rejestracji magnetycznej pozwala bowiem na wcześniejsze przygotowanie programu, który może być odpowiednio montowany i zmieniany. Ponadto taki program może być odtwarzany dowolną ilość razy i to nie tylko ze stacjonarnych stanowisk emisyjnych, lecz — co ma duże znaczenie — również ze stanowisk przewoźnych.

A więc nie jest dobrze. Czy będzie lepiej? Wszystko wskazuje na to, że sprawa uzasadnionych potrzeb radia i telewizji doczekała się w końcu swego happy endu. Wskazuje na to niezwykle znamienny fakt, iż kwestią modernizacji i rozbudowy bazy technicznej i materialnej radia i TV zajęło się ostatecznie samo Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Partii, podejmując niezwykle doniosłe decyzje, które pozwolą nie tylko na odrobienie wieloletnich zaległości, ale stworzą polskiej radiofonii szansę

Dokończenie na str. 7

jedno życie

transport, zaopatrzenie, dziesiątki spraw, z którymi nigdy przedtem nie miał do czynienia. Na szczęście po polsku nie tylko już dobrze mówił, lecz też pisał i czytał. Ale nieoczekiwanie wyłoniły się trudności wewnętrzne. Wozy i ogniska rozbudziły dawne przyzwyczajenia. — Trzeba kupić konie i ruszyć w świat — zaczęła domagać się część starszych. — Co to za życie, cały czas w jednym miejscu? Wrócimy na zimę. — Chcecie żyć po swojemu, to żyjcie, ale do nas już nie wracajcie; nie potrzebujemy takich — pożegnał ich Wasyl. Kilka rodzin odjechało. Ślad po nich zaginął.

Osiedlenie się Cyganów zostało nieufnie przyjęte przez ich najbliższych sąsiadów. Na wszelki wypadek zamykano starannie drzwi do mieszkań i kurników. Pierwsze znajomości zawarły — jak wszędzie — dzieci. Chodziły razem do szkoły. Cyganięta uczyły się normalnie, jedne lepiej, drugie gorzej. Po pewnym czasie ustąpiła nieufność dorosłych: przybysze nikomu nie szkodzili, nie wchodzili w drogę. Raz i drugi wieczorem przyszli sąsiedzi posłuchać cygańskich śpiewów przy ognisku. Gdy trzeba było wezwać lekarza lub zadzwonić w innej pilnej sprawie, telefon w mieszkaniu Wasyla był do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy.

Ale zaczęły się i konflikty. Zamówień przybywało, zarobki poprawiały się. Niektórzy zamiast dbać o dom, przepuszczali po pół pensji w knajpie. Nie pomagały przestrogi Wasyla. Jeden z młodszych zahulał w podejrzanym towarzystwie w restauracji „Pikolo", zaczął się sprzeczać z pijaną kobietą i ta pchnęła go nożem w serce. Lekarze z najwyższym trudem odratowali rannego. A kiedy wrócił do domu, Michaj zebrał głowy rodzin i uchwalił rzucenie na młodego magerdo. Odtąd pracować mógł, ale rozmawiać tylko w swoim mieszkaniu z żoną i dziećmi, z innymi wyłącznie w niezbędnych sprawach służbowych. Nikt z Cyganów nie podał mu ręki, nie pozdrowił, nie odpowiedział na pozdrowienie, nie wypalił z nim papierosa. Nawet bracia. Kto przekroczyłby zakaz, też zostałby magerdo.

Po dwóch latach wyklętego przyjęto na powrót do społeczności cygańskiej, świętowano to wspólnie jak narodziny chłopca. Zakaz chodzenia do lokali Wasyl uchylił, ale patrzył krzywo, gdy ktoś zaczynał chodzić za często. — Chcesz posłuchać muzyki? Kup sobie radio — doradzał.

Pierwsze radio kupił Władysław Wiszniewski. Czort znajet odkuda u niewo takaja familia — odpowiadał Michaj, gdy jeszcze w Związku Radzieckim pytano skąd mołdawski Cygan tak się nazywa. Ojciec jego był Wiszniewski, dziadek też; pradziadek podobno Polakiem, który zakochał się w Cygance i przyłączył do taboru.

Cyganie z innego szczepu kilka razy podpalali baraki na Bronowicach, pewnej nocy dwukrotnie. Wódz tamtego szczepu, zaniepokojony żądaniami swojej młodzieży, żeby też się osiedlić, postanowił wykurzyć Michaja. Przez miesiąc obok baraku co noc stał na straży milicjant. Potem Wasyla wezwano do komendy, pułkownik wręczył mu pistolet i powiedział: Jeśli pan zobaczy obcego... Gdy tamten wódz zmarł, nastał spokój.

Płynął czas i dorastały dzieci. Funia, gdy wąs mu się puścił, chciał iść do „Romy". Ma ładny głos, gra na gitarze. — Ucz się! — przykazywał ojciec, — będziesz pilnował interesu, to pewniejszy chleb. I Funia został kotlarzem. Jest prawą ręką ojca w prowadzeniu spraw biurowych. Rano bieli kotły, wieczorem klepie na maszynie sprawozdania i inne pisma urzędowe.

Młodszego syna, Wasyla, stary nie utrzymał w domu. Od niemowlaka prawie łapał za gitarę. Przesiadywał godzinami przy radiu. Zmusił ojca do kupna magnetofonu, nagrywał różne piosenki w obcych językach, a potem odtwarzał i uczył się ich. — Czyś ty zgłupiał? Cóż ty śpiewasz? — pytał stary. Sam czuły na muzykę, nie rozumiał syna. — Zamiast śpiewać jak każdy Cygan, z czego da się przecież wyżyć, wyjesz niczym jakiś Murzyn czy Indianin.

Z czasem ojciec przestał zatykać uszy na synowskie śpiewy. Wsłuchał się w ten rodzaj muzyki, poznał go, podpowiadał nawet synowi. Kiedy młody Wasyl wystąpił pierwszy raz publicznie, działo się to w Gdańsku na koncercie „Rythm and blues", nagrodzono go burzą oklasków. Obecni na występie Cyganie nazwali go „Burano", co w języku Lowarów oznacza burzę. Odtąd Michaj Burano występuje z wielkim powodzeniem najpierw na estradach krajowych, a potem zagranicznych, gdzie na życzenie impresaria przybrał pseudonim John Me Arlowe. Na biurku ojca stoją nagrody zdobyte przez syna na międzynarodowych konkursach.

— Czitu Roma san? — spytał któregoś dnia Wasyla-ojca na Krakowskim Przedmieściu wysoki, przystojny mężczyzna w sutannie. — Czy jesteś Cyganem?

Ksiądz katolicki z Krakowa, też z Lowarów, syn Cygana z taboru, wychowany i wykształcony przez polskich zakonników, w czasie swej wizyty w Lublinie zatrzymał się dłużej, by poznać tego słynnego Michaja, który zanim jeszcze władze wydały odpowiednie nakazy, osiedlił swą grupę na stałe. Osiedlenie nie jest wszakże bezruchem. Firma Wasyl Michaj i spółka pobiela kotły oraz urządzenia sklepowe i przemysłowe w całym kraju. Reklamowe okazy swoich wyrobów wystawiają od kilku lat na targach poznańskich.

— Każdy może zobaczyć jak pracujemy, może próbować robić tak samo, ale tak dobrze jak my, nikt nie zrobi. Cygańska tajemnica — mówi Funia tonem, w którym nie ma przechwałki, tylko rzeczowe stwierdzenie faktu.

Wasyl jest zadowolony, że Fuńka zrezygnował z muzyki dla kotłów, dumny, że chłopak nieźle prowadzi biuro, lecz następcy w kierowaniu spółką upatruje nie w Fuńce. I nie w swym bracie Wiktorze, też kotlarzu, którego żona Maria, z domu Szyszkowa, z Cyganów rosyjskich, prowadzi przy ul. Kunickiego kawiarnię „Cyganeria". Spółką ma pokierować Władysław Wiszniewski, ten sam, który niegdyś najwięcej oponował przeciwko całkowitemu osiedleniu się. Ale Wiszniewski, choć narzeka, bardzo szybko wchłonął w siebie cywilizację. Nauczył się nie tylko prowadzić samochód, ale zreperuje wszystko, co porusza się na czterech kołach. Zdał także egzamin czeladniczy na kotlarza, a potem mistrzowski. Fachowiec niedościgniony. Drugi dyplom mistrzowski zdobył Mikołaj Antonescu.

Wasyl Michaj, choć znał dobrze swoje rzemiosło, przyciśnięty wymogami przepisów, też musiał przysiąść nad książką. W roku 1964 zdobył dyplom mistrza. Miał wtedy 63 lat. Teraz ma 72, chore serce i nie może zasnąć z wieczora. Wysiaduje więc przed telewizorem. Najchętniej ogląda transmisje z meczów sportowych. Żona też jest kibicem, zna nazwiska i twarze zawodników, załamuje ręce, gdy Polakom przychodzi przegrywać. Dawniej, w lesie, gdy Księżyc był w nowiu, Cyganie modlili się: Delła, delła, żuty sara amenge te romenege — Boże na niebie, pomóż nam, ludziom na ziemi. Czy Wasyl mógł przewidzieć, że kiedyś będzie siedział u siebie w domu i oglądał człowieka na ekranie, który w tym samym czasie chodzi po Księżycu?

Lekarze radzą Wasylowi, by stracił trochę wagi. Odchudza się, choć uważa, że jego serce ma prawo chorować. Taką długą i krętą drogę przeszedł. Za dużo na jedno cygańskie życie, za dużo na jedno serce. A przecież nie może jeszcze iść na emeryturę, choć ją sobie wypracował. Na Bronowicach wieżowce doszły już do granic ich baraków. Trzeba się stąd zabierać. Wasyl zabiega o kilkanaście działek, gdzieś na dalekim przedmieściu, żeby zbudować domki jednorodzinne. Takie, żeby na podwórkach dało się prowadzić roboty kotlarskie. I żeby wszyscy żyli obok siebie; żeby móc przynajmniej rozmawiać po cygańsku, zachować najważniejsze tradycje. Bo mniej ważne u młodych już zaginęły. Żenią się z Polkami, córki powychodziły za Polaków. Wnuki mówią po cygańsku, ale niewiele lepiej niż niektóre bawiące się z nimi sąsiedzkie dzieci. Rumuńskiego już ani śladu. Nawet Funia, choć urodzony w Bukareszcie, zna tylko cygański i polski, a uważa się za rdzennego lublinianina, żonę ma Polkę, dzieci od kołyski wychowuje na Bronowicach. Burano, gdy napisali w którejś gazecie, że jest z Gdańska, zagroził procesem sądowym jeśli nie sprostują. Brat Wasyla, Wiktor, ma syna, też Wiktora. Śpiewa w „Romie", ale ożeniony jest z Polką, mieszka wśród Polaków, dzieci znają tylko parę słów po cygańsku.

Wasylowi żal, że nikną tradycje cygańskie. Lecz nie żałuje, że pchnął swoją grupę do innego życia. Od początku wiedział, że konsekwencją polepszania doli będzie wtopienie się w środowisko polskie. — To jest wielka fala, która idzie przez świat i robi wszystkich podobnymi do siebie. Prędzej czy później przyjdzie na każdego i nic jej nie powstrzyma — powiada. — Może wnuki lub prawnuki nie będą nawet znały języka. Byle pamiętały kim są i dbały o swój honor.

Romuald Wiśniewski

Kamena str. 5

zwolę sobie wyrazić przekonanie, że inscenizacja, jaka się zrodziła z tego tekstu, pozostanie chlubną pozycją w curriculum twórczości reżysera — Marka Okopińskiego i scenografa — Mariana Kołodzieja. Nieczęsto spotykamy się dziś w teatrach z tak pieczołowicie, tak wymownie odtworzonym słowem i tak nobliwym przekładem poetyckiej plastyki obrazu na język plastyki wizualnej. Nowoczesność Okopińskiego i Kołodzieja w „Termopilach" wyrosła z polskich tradycji artystycznych. Tu „trumny nie dzielą od żyjących" — rzec by można zapożyczając się u poety. Wydaje się, że to patriotyczny duch Matejki patronował natchnieniu utalentowanego scenografa naszych czasów, ale i z wielkiego włoskiego Renesansu chyba pochodziły jego inspiracje, może i z lektury Dantego, a już na pewno ze szczytów wizyjności filmowej.

Obrazy przepływają jakby w muzycznym rytmie, lecz przepływ ten nie zaciera żadnej pointy ideowej, mimo nadzwyczajnej mnogości faktów, wcieleń, metafor, alegorii, insygniów, akcesoriów...

Tak wielkie zaufanie artystyczne budzi ta inscenizacja, że nie podważy go nawet obraz z podobizną Zamku Królewskiego i Kolumny Zygmunta, skonstruowany na optycznej zasadzie Panoramy Racławickiej, który w innym kontekście wydałby się kompromisem na rzecz estetyki popularnej.

Brak mi w danym przeglądzie miejsca bodaj na zwykłe wyliczenie scen przewijających się przed widownią istotnie w tempie „szalonym." Do najlepszych chyba należą modły ludu, jakby za Jagiełły pod Grunwaldem, scena Stanisława Augusta, „króla bez narodu", zasiadającego na tronie obok sobowtóra-manekina, scena przyniesionej na tronie-lektyce Katarzyny, histeryzującej nad trumną kolejnego faworyta, a bezpośrednio po tym rozprawiającej z dworzanami niezym przebiegły dyplomata, dalej scena sejmowa, scena... ale nie, powiedzmy po prostu jak dzieci: „wszystkie są najlepsze".

I „najlepsze" też są wszystkie role. A jest ich aż trzydzieści dziewięć, nie licząc grupy oznaczonej lakonicznie: LUD. Najtrwalej jednak pozostaną mi w pamięci: Stanisław August (Stanisław Igar), Wita (Halina Winiarska), bardziej mistyczna niż realna wielbicielka Księcia Józefa; Katarzyna

Kamena str. 6

realizmu z teatrem wysoce poetyckim — w służbie czystego ducha patriotycznego i zdrowej myśli politycznej.

Drugim (właściwie chronologicznie pierwszym) wielkim spektaklem zaprezentowanym w Gdańsku w czasie sesji krytyków teatralnych była Szekspirowska „Burza", również w reżyserii Marka Okopińskiego, a w scenograficznej oprawie Jerzego Krechowicza.

Po „efuzji" entuzjazmu, jakiej dałam upust w związku z „Termopilami", nikt, sądzę, nie będzie miał mi za złe paru krytycznych uwag w odniesieniu do spektaklu sławnego arcydzieła Szekspirowego.

Otóż prawdę powiedziawszy, nigdy nie widziałam takiej jego polskiej inscenizacji, która by mnie zachwyciła. Wolę c z y t a ć „Burzę" — oczywiście w oryginale. W ogóle zaś, wyznam szczerze, nie należy ona do moich ulubionych dzieł Szekspira. Fabuła jej, rewelacyjna w dobie wielkich odkryć geograficznych Odrodzenia, wydaje się dziś nieco wyblakła, co zaś do poetyckiej warstwy słownej, no to n a p r a w d ę kocham słynny filozoficzny passus ze sceny I aktu czwartego:

...a jak złudne kształty
Tego widzenia, tak chmur sięgające
Wieżyce, tak pałace pyszne, tak też
Świątynie, w zbożny zachwyt
wprawiające
Widokiem, tak też ziemi glob olbrzymi
Ze wszystkim, co jest na nim, w nicość
się obróci.
Tak samo jak po zwiewnym tym
widzeniu
Nie pozostanie po nim ani chmurki.
Istota nasza równa snów tworzywu,
A krótki żywot nasz snem okolony...

(Przekład Władysława Tarnawskiego).

Za najlepszą uchodzi u nas inscenizacja Loenoa Schillera, nagrodzona na Festiwalu Szekspirowskim w latach czterdziestych. Z tym trzeba się zgodzić. Przy ascetycznej scenografii słowo otrzymało należną mu rangę. Ale i tak metafora sceniczna obniżała nieco lot tej poezji. Cóż dopiero gdy następuje przerost oprawy scenicznej, a to właśnie się stało w gdańskiej „Burzy".

Oddajmy Krechowiczowi należne: jego struktura scenograficzna jest efektownie „egzotyczna". Tu i ówdzie różne segmenty czy fragmenty ruszają się jak żywe. Ale owa profuzja materii „uziemiła" poezję

tutaj piękny efekt plastyczny ... ...
chu.

Na scenie kameralnej w Sopocie pokazano świetnie przełożoną przez Kazimierza Piotrowskiego „Maleńką Alicję" Albee'ego w reżyserii Stanisława Hebanowskiego, rzecz skrajnie enigmatyczną, wymagającą szczegółowszej analizy, którą obiecuję sobie przeprowadzić po obejrzeniu powtórnym, mam nadzieję — na Warszawskich Spotkaniach Teatralnych. Faktem już teraz jednak dla mnie bezspornym jest znakomita gra całej obsady: Haliny Winiarskiej w roli Alicji, Stanisława Igara (Kardynała), Henryka Bisty (Adwokata), Krzysztofa Gordona (Juliana), Henryka Abbe (Lokaja). Fenomenalny był zwłaszcza wstępny dialog Adwokata z Kardynałem, było w nim coś z klimatu przetargu w „Wizycie starszej pani" Duerrenmatta. No i Marian Kołodziej znów zachwycił widownię swoją scenografią, która z kolei przywiodła mi na pamięć z jednej strony nastrój Kafkowskiego „Zamku", z drugiej pewne patologiczne wizje surrealistów.

W każdym bądź razie cokolwiek by miał do powiedzenia autor „Maleńkiej Alicji", słusznie czy niesłusznie, trzeba mu przyznać bez wahania, że umie utrzymać uwagę widza w napięciu zarówno paradoksami dialogu jak sytuacji. Tej umiejętności nie dostrzegam niestety w dramacie Zdzisława Morawskiego „Maria Preta czyli życie nie znosi żałoby." Instynkt samozachowawczy, który chroni mnie w teatrze przed nudą, kazał mi tym razem już po pierwszych scenach zamknąć, że tak powiem, moje wnętrze na wszystkie spusty. Nie chcąc tedy krzywdzić autora wyssaną z palca krytyką, pozwolę sobie odesłać łaskawych czytelników do nru 13 „Teatru", gdzie Andrzej Żurawski omawia utwór głęboko analitycznie i pozytywnie.

Wielką niespodzianką był dla mnie w Gdańsku ...„Dom otwarty" Bałuckiego, na który, przyznam się, nie bardzo miałam ochotę iść. Cóż za rozkoszne przedstawienie zrobił z tej komedyjki obyczajowej Jerzy Kreczmar! Ile werwy, ile dowcipu w tym odmłodzonym Bałuckim. I jaka wspaniała gra. Bogiem a prawdą, trzeba by omówić wykonanie wszystkich postaci, a więc przepraszam, że, zmuszona do finiszowania, wymienię tytułem ich reprezentacji tylko jedną: Wuja Telesfora, kreowanego przez roztaczającego niezrównany wdzięk Andrzeja Szalawskiego.

Strasznie też mnie ucieszyły malowane sprzęty na dekoracji Jana Kosińskiego — nawiązujący do XIX w. pomysł zespołu baletowego Summer Wells, zademonstrowany u nas kilkanaście lat temu bez następstw.

Brawo dla Teatru „Wybrzeże", wielkie brawo!

Dokończenie ze str. 4

tach i dysputacyjach, doskonalił się w szermierce i jeździe konnej, uczył się grać na lutni. Oczywiście, zwiedzał również Paryż. Nie zapomniał także o nawiązywaniu przyjaźni. Bywał przeto na „audiencyjach" u króla Ludwika XIII, urządzał przyjęcia dla urzędników i funkcjonariuszy dworu francuskiego, składał im wizyty. Zaprzyjaźnił się z książętami de Guize, de Nevers, de Rohan i de Montmorency.

Do Włoch przybył młody Zamoyski w styczniu 1617 r. Z kulturą Italii był on związany od lat najmłodszych. Tu kształcił się jego ojciec, tu pobierali naukę jego nauczyciele — Szymon Birkowski i Tomasz Drezner. Z miast włoskich najbardziej pociągały wówczas Rzym, Padwa, Wenecja, Neapol. Rzym wabił czarem ruin klasycznych, miejscem kultu religijnego, wspaniałymi uroczystościami wielkopostnymi, Padwa kusiła prężnym ośrodkiem uniwersyteckim. Wenecja przyciągała zarówno architekturą, jak swym ustrojem, jakże bliskim Rzeczypospolitej szlacheckiej. Neapol pociągał ruinami antycznymi i kultem Wergilego.

Młody magnat godnie reprezentował za granicą nazwisko Zamoyskich — utrzymywał wokół siebie podniosłą, pełną splendoru atmosferę, odwiedzał pracownie mistrzów sztycharstwa, malarstwa i złotnictwa, czynił, zakupy towarów luksusowych, urządzał przyjęcia i obdarowywał upominkami ludzi z warstwy rządzącej. To wszystko, oczywiście, kosztowało. Pełne koszty wojaży zagranicznych młodego Zamoyskiego wyniosły ponad 20 000 zł — sumę na ówczesne czasy olbrzymią, jeśli nie wręcz zawrotną. Co oznaczała ta suma w ówczesnej gospodarce? Dochód globalny z 1 wsi szlacheckiej w tych czasach wahał się między 140 a 240 zł rocznie. Średnia cena wołu wynosiła w 1616 roku we Lwowie 6 zł, a w Lublinie — 6 zł 10 gr. Za beczkę wina pojemności trzech wiader zapłacono w 1596 r. w Monachium 36 zł, za wóz siana — 2 zł 18 gr, za parę pończoch — 2 zł. Za pióro *diamentowe, w którym diamentów wielkich 4 i małych kilkadziesiąt* zapłacono w 1634 r. w Krakowie 2100 zł.

W *Rzymie przez mięsopusty i wielki post przemieszkał* — pisał o Zamoyskim Stanisław Żurkowski — *czas ten trawiąc na naukach z przednim matematykiem słuchając pod nim lekcij de fortificationibus et propugnaculis* (= o twierdzach i basztach). *O czym wielką książkę napisał i w niej bardziej niż w najdroższym klejnocie kochał się. W każdej drodze i ekspedycji wojennej miewał ją z sobą... W dzień wielkopiątkowy w kompanij co przedniejszej między pany wielkimi, w kaple krzyż niósł ciężki, bez żadnej pomocy z podziwieniem u wszytkich, tę processyją bosymi nogami odprawił, włosienicą ciało trapił.*

Tutaj nad Tybrem, sztycharz rzymski Jakub Lauro, znany z szeregu prac dla Zygmunta III i polskiej magnaterii, odczytał hetmanowicowi panegiryk Andrzeja Bajana: „Pamięci czynów Jana Zamoyskiego, wielkiego kanclerza Królestwa Polskiego, hetmana wojsk polskich i synowi jego wstępującemu ze sławą w ślady tak wielkiego ojca Tomaszowi Zamoyskiemu, staroście knyszyńskiemu i goniądzkiemu pochwała", panegiryk będący pewnego rodzaju komentarzem do jego ryciny, przedstawiającej na łuku triumfalnym *historyję czynów Jana Zamoyskiego.*

Zdarzenie twojego przybycia do tego miasta — pisał Lauro w swej przedmowie do panegiryku Andrzeja Bajana — *obudziło mą wdzięczność na uczczenie choć niewielką ofiarą, najwaleczniejszego i najświetlejszego męża, ojca twego, którego za życia szanowałem i poważałem. Kiedy więc obrazopismo, czyli historyję czynów jego w wizerunkach wystawioną, przed wielu laty zaczętą, teraz za twojem skinieniem łaskawie ukończyłem, tobie ją poświęcam razem z pochwałą, jasnym mego obrazopisma wykładem, napisaną przez kapłana luzytańskiego, męża niepospolitego, równie w duchowych, jak politycznych naukach biegłego.*

Po świętach wielkanocnych udał się Tomasz Zamoyski do Neapolu. Przyjmowano go tutaj z wylewną serdecznością. *O nim wziąwszy wiadomość vicerex neapolitański, dux Ossonensis* — czytamy u Żurkowskiego — *inwitował* (= zaprosił) *pana do siebie, traktował go prawie regia magnificentia, między dwunastą książąt, których do tego bankietu wezwał, dał mu przedniejsze miejsce, wysoce go szanując i traktując, darował mu dwóch Polaków szlachciców, wziętych między więźniami na galerze tureckiej, przyodzianych w aksamity od głowy aż do nóg. Pozwolił i koni, ileby chciał z tego tam królestwa wyprowadzić.*

Z Neapolu powrócił młody Zamoyski do Rzymu. *Miewał audiencyje u Pawła V, u którego wiele łask i rzeczy potrzebnych kościołowi swemu zamojskiemu i Akademii swej wymógł.* Między innymi Paweł V odwołał zarządzenie papieża Klemensa III ustalające nadzór biskupa chełmskiego nad Akademią Zamojską oraz zatwierdził pismo fundacyjne Akademii i ustawy Akademii. Od tej pory najwyższe zwierzchnictwo nad Akademią miało należeć do Tomasza Zamoyskiego i jego potomków.

Dalszymi etapami podróży była Padwa i Wenecja. W Padwie, Mekce tylu pokoleń polskich studentów, miejscu, w którym ojciec Tomasza był rektorem, młody magnat nie zagrzał, może się długo miejsca. Wprawdzie nazwisko Tomasza Zamoyskiego figuruje w księgach uniwersyteckich nacji polskiej, lecz do ksiąg tych wpisywano zarówno studentów, jak i osoby przejeżdżające przez Padwę. Tomasz Zamoyski bez wątpienia należał do grupy drugiej. To, w Padwie, wyszły spod pióra młodego Zamoyskiego słowa, które były dewizą życiową nie tylko jego, ale całego drugiego pokolenia magnackiego: *ja ojca swego drogi trzymać się chcę i nie szukać dróg sobie w ojczyźnie szukać, ale tę utorowaną iść.*

W Wenecji Tomasz zwiedził zapewne arsenał, pałac dożów, kościoły ze słynną bazyliką św. Marka na czele, z pewnością zaznajomił również w przejażdżkach po Canale Grande.

Wenecja zamykała wędrówkę młodego Zamoyskiego po Włoszech. Stąd przez Szwajcarię, Bawarię, Czechy i Śląsk, rozpoczął powrót do kraju. Zdaje się, że w drodze powrotnej zatrzymał się na kilka czy może nawet kilkanaście dni w Pradze. Piękna stolica Czech była wówczas centrum Cesarstwa Rzymskiego — tu w zamku królewskim na Hradczanach przebywał prawie stale cesarz Maciej II.

Dzięki podróży zwiedził najpiękniejsze bodaj strony Europy. Podziwiał Lubekę, Hamburg, Amsterdam, Dover, Londyn, Tours, Orlean, Paryż, Genuę, Lukkę, Rzym, Neapol, Padwę, Wenecję, Pragę. Zetknął się z atmosferą kulturalną Londynu, Paryża, Rzymu. W stolicy Francji otrzymał polor towarzyski, w Rzymie dopełnił wykształcenia w zakresie fortyfikacji i inżynierii wojskowej. Poznał osobiście monarchę angielskiego Jakuba I i jego syna Karola, papieża Pawła V, króla francuskiego Ludwika XIII, księcia Oranii Maurycego, generała wojsk hiszpańskich w Niderlandach Ambrożego Spinolę, zaprzyjaźnił się z wieloma osobistościami dworu angielskiego, francuskiego i papieskiego. Wszystkie te doświadczenia i doznania, jakie wyniósł z peregrynacji, rozszerzyły jego horyzonty myślowe, dały dość duże wyrobienie społeczne, zaprawiły do życia politycznego, pozwoliły ukształtować pogląd na wiele spraw.

Wojaże młodego magnata

Z dorobku kulturalnego Zachodu korzystało pierwsze, drugie i trzecie pokolenie magnackie Zamoyskich. Każde jednak inaczej. Kiedy twórca Ordynacji Zamojskiej, kanclerz i hetman wielki koronny Jan Zamoyski, odbywał regularne studia zagraniczne, to jego syn Tomasz już tylko podróże „turystyczno-naukowe", „informacyjno-polityczne", zaś wnuk Jan „Soblepan" „wojaże erotyczne", w przenośni i dosłownie, albowiem główną domeną jego zainteresowań były pełne wdzięku córy Terpsychory i Melpomeny, a nierzadko pośledniejsze dziewczęta Paryża, Rzymu czy Wenecji. *Dałby to Pan Bóg, żebyś mnie WMść rektorem w swej uczynił Akademii;* — pisał w jednym ze swych listów do Jana „Soblepana" Zamoyskiego konuszy litewski Bogusław Radziwiłł, żartobliwie wypominając mu paryską kompromitację erotyczną — *czytałbym WMci Memu Kochanemu Bratu takie lekcje, że byś wkrótce świętobliwego sługę w praktykach wszetecznych przeszedł, byle przyrodzenie w piernatach WMci służyło lepiej niż na strychu paryskim.*

W pierwszych dniach listopada 1617 r. stanął Zamoyski na ziemi polskiej. Około 30 km od granicy, w Kościanie, witali go słudzy zamojscy i żołnierze z jego oddziałów prywatnych. W kilka dni później przybył hetmanowic do Poznania, gdzie ubiór cudzoziemski złożył, włosy ostrzygł i do polskiego stroju powrócił. W Zamościu stanął dopiero 29 grudnia. Powrót Tomasza z cudzych krajów stał się okazją do uroczystego powitania. *Wysiadłszy z karety* — pisał Żurkowski — *wprzód do kościoła wstąpił, gdzie wszytko duchowieństwo czekało. Mikołaj Kiślicki, dziekan infułat z kapitułą i wszytką księżą w kościele go przywitali. Toż uczynili panowie akademicy.* Między innymi rektor Akademii Zamojskiej, Gaspar Solcius, wręczył mu drukowane z tej okazji dwa panegiryki łacińskie, pióra studentów zamojskiej Almae Matris.

Tomasz Zamoyski po odbyciu peregrynacji zagranicznych znalazł się natychmiast w orbicie władzy: w 1618 r. został wojewodą podolskim, w 1619 r. — wojewodą kijowskim, w 1628 r. — podkanclerzem wielkim koronnym, a w 1635 r. — kanclerzem wielkim koronnym.

Podróże z lat 1615—1617 nie były dla Tomasza ostatnimi podróżami zagranicznymi, jakie odbył w swym życiu. Jeszcze dwa razy wyjeżdżał za granicę: raz w 1631 r. do Czech, drugi — w 1633 r. do Włoch. Podróże te miały jednak zdecydowanie inny charakter — były podróżami odbytymi w celach leczniczych.

Adam A. Witusik

moje LEKTURY

Sny i widma Czernika

PRZED kilku laty pisałem na tym miejscu o książce Stanisława Czernika „Trzy zorze dziewicze", poświęconej polskiemu folklorowi poetyckiemu i poezji magicznej. Była to już zresztą kolejna pozycja w długim szeregu książek, jakie wyznaczały przebieg zainteresowań Czernika tradycją literatury chłopskiej. Takie tytuły jak „Poezja chłopów polskich", „Chłopskie pisarstwo samorodne", „Polska epika ludowa" czy „Stare złoto" uczyniły wiele dla przywrócenia wagi problematyki folklorystycznej w kontekście ogólnych zagadnień literackich. Ale wydaje się, że do dzieła, które stanowiłoby *opus magnum*, byłoby zwieńczeniem wieloletnich badań i rozmyślań, Czernik jeszcze przygotowywał się, zmierzał doń; nie doczekał się jednak jego spełnienia, a po wielkim zamyśle pisarskim pozostały jedynie okruchy.

Powiedzmy zresztą otwarcie: odbudowana przez syna pisarza pośmiertna książka nie daje wyobrażenia o skali ambicji Czernika. Przeważają tu omówienia publikacji dotyczących folkloru, są też szkice (one otwierają „Sny i widma"), w których autor analizuje motyw armeński Słowackiego oraz „wiatr od ludu", jaki da się wyczuć w twórczości i biografii autora „Balladyny". Te szkice wykazują znamiona doraźnej roboty, mają charakter zbyt okazjonalny, by mogły służyć jako podstawa do rekonstrukcji światopoglądu artystycznego Czernika. Również obszerny tekst, poświęcony naszej poezji magicznej, w wielu szczegółach budzi wątpliwości i opory. Szkic ten aczkolwiek interesujący, daje materiał znany już przeważnie z dawniejszych tekstów autora.

Wartość książki zawiera się w trzech szkicach, ukrytych w środku, w których Czernik wypowiedział swój stosunek do podstawowych spraw, określających go jako pisarza i twórcę. Przede wszystkim chodzi o ludowość, a zwłaszcza o to, co nazwane tu zostało mitem rodowodu. Czernik nadużywa czasem takich słów jak mit czy archetyp, nie zawsze wprowadzanie tych określeń jest konieczne. W tym wypadku chodzi mu o poszukiwanie tożsamości, o swego rodzaju rodową archeologię. *Ciągle szukanie i odkrywanie siebie w dziejach, w teraźniejszości i przeszłości — to dla mnie główne źródło poezji i pisarstwa w ogóle* — czytamy w jednym ze szkiców Czernika. Autor zdaje sobie sprawę, że pamięć ludowa obejmuje stosunkowo krótki czas, historia pisana poszczególnego rodu chłopskiego prawie nie istnieje, ale na przekór temu Czernik szuka jej drogą introspekcji i badania siebie *poprzez niezliczoną ilość odruchów, poprzez kontrolę najtajniejszych myśli, pragnień, uczuć, zamiarów, marzeń, a nawet zjawisk sennych*. To pozwoliło mu pozostać chłopem nie tylko z urodzenia, ale z dokonanego później świadomego wyboru. Z chłopskiej gleby, z poczucia wspólnoty z tymi co byli i odeszli wywodzi się cała działalność Stanisława Czernika; stał się rzecznikiem swoich antenatów, wyrażał ich dole i niedole, uczestniczył w podobnym przeżywaniu spraw życia i śmierci.

Ciekawe, iż w ostatnich latach, w omawianej książce jest to także widoczne, Czernik unika wiązania swej postawy z głoszonym przez niego autentyzmem. Był do ostatka przekonany o słuszności jego głównych założeń, ale nieporozumienia, jakie od początku wokół tego programu się nawarstwiały, zniechęcały go od dalszej walki o jego upowszechnianie. Zostawił to innym, którzy na nowo formułowali zasady autentyzmu, w innym zresztą już duchu. Poza tym na pewno zdawał sobie sprawę, iż autentyzm utrwalił swe istnienie jako zjawisko literackie, natomiast nie wyczerpywał całości problematyki, która nurtowała autora „Ręki" i którą zajmował się w swej bogatej twórczości poetyckiej i krytycznej.

Niezwykle cenny jest w książce tytułowy szkic — „Sny i widma", w którym autor przedstawia związki swoich marzeń sennych z twórczością poetycką. Wskazuje na mechanizmy wyobraźni twórczej na przykładzie paru snów związanych między innymi z zaprzyjaźnionym poetą Stanisławem Piętakiem i postacią ojca. W tym kontekście Czernik prezentuje swój stosunek do surrealizmu, wobec którego był niegdyś tak krytyczny, oraz wykazuje, iż dla wielu poetów, w tym dla Piętaka i Czechowicza, sen stanowił istotną część tworzywa artystycznego. W tym szkicu przypomina także inicjatywę Czechowicza, która polegała na uzyskaniu od wybranego kręgu adresatów ankiety wypowiedzi poetyckich na trzy „zadane" tematy: głód, sen i odkrycie. Czernik mówi tylko o utworach na temat snu i w tym właśnie miejscu zaczyna się cały szereg nieścisłych lub błędnych informacji, związanych z ankietą Czechowicza. Zacytuję fragment najbardziej wymagający komentarza: ***Nie wiem, do kogo Czechowicz się zwrócił ani jaki skutek miały jego propozycje. Jeżeli chodzi o mnie, bez entuzjazmu, ale „lojalnie" napisałem i wysłałem dwa, może trzy wiersze o snach. Miały to być wiersze przeznaczone do „Pióra" lub dodatków literackich do jednego z czasopism nauczycielskich [...] Nie wiem, co się z tymi wierszami stało, nie zachowały się ani utwory, ani publikacje.*** Inicjatywę autora „nuty człowieczej" umiejscowił Czernik około 1936 r. Szkoda, że „Poezja", która pierwsza drukowała szkic Czernika, ani redaktor książki nie dali żadnego sprostowania na użytek czytelnika. A przecież łatwo to było uczynić. W „Poezji" (1968, nr 10) opublikowane były listy Czechowicza do T. Hollendra, dotyczące w dużej mierze ankiety Czechowicza. W nocie wstępnej omówiono jej założenia i późniejszy los, wydrukowano także pełny tekst odezwy do poetów w sprawie wierszy na temat głodu, snu i odkrycia. Było to w 1934 r., „Pióro" jeszcze wówczas nie wychodziło, a los wierszy jest do ustalenia: wypowiedzi nadesłane na ręce Czechowicza ukazywały się m. in. w „Pionie", a przede wszystkim w redagowanym przez niego „Miesięczniku Literatury i Sztuki". Czernik wysłał zapewne wiersze na wszystkie tematy albowiem we wspomnianym miesięczniku (1934, nr 3) znajduje się jego utwór pt. „Odkrycie".

„Sny i widma" nie stały się więc książką, jaką zamierzał Czernik stworzyć, nie napisał zamierzonego cyklu „wspomnieniowo-refleksyjnego". Był przekonany, że zdąży „przed zachodem słońca". Stało się jednak inaczej.

Tadeusz Kłak

Stanisław Czernik: Sny i widma. Wyboru dokonał Mieczysław Czernik. Warszawa 1971. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza.

Krzyżówka nr 17

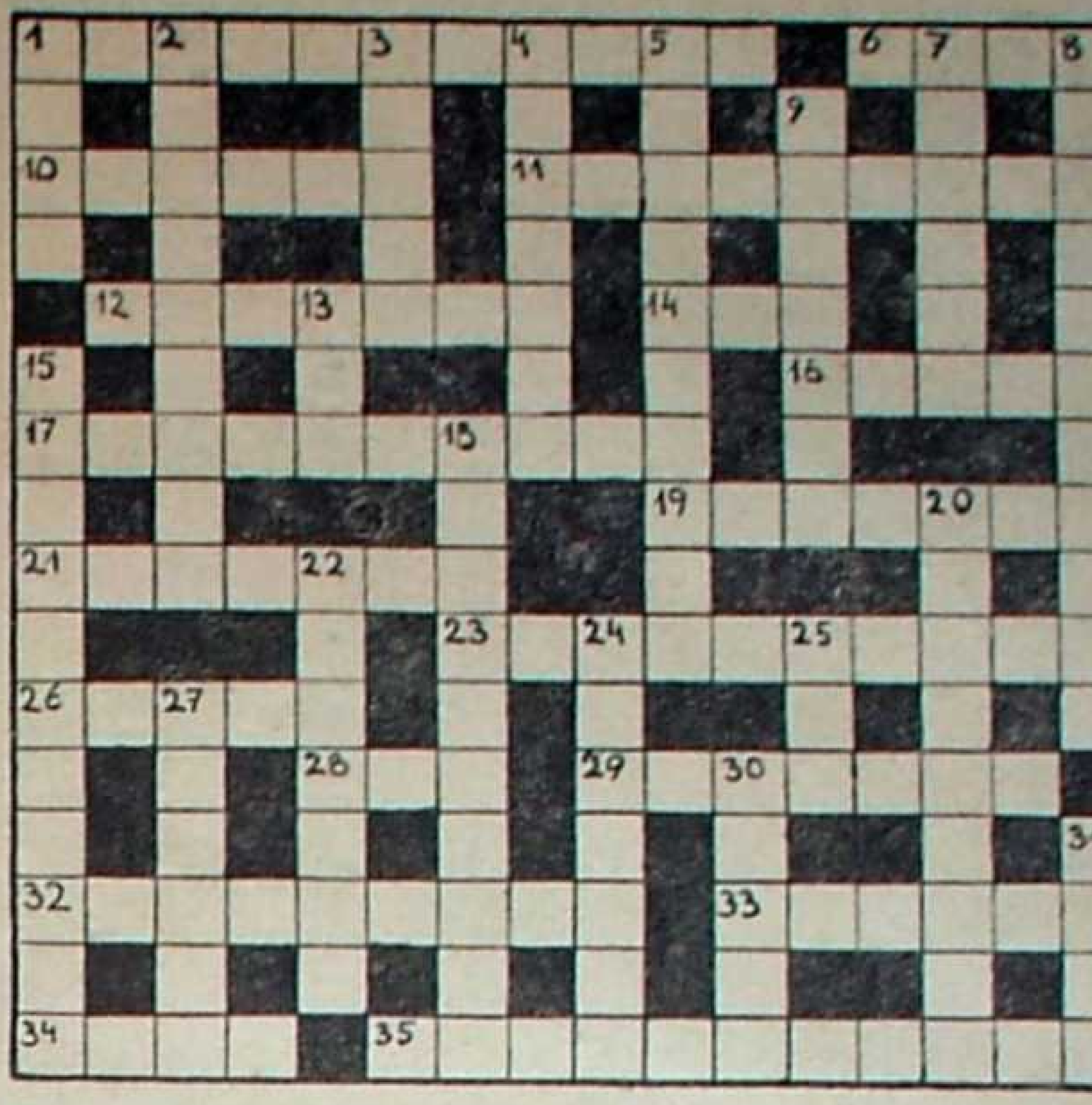

POZIOMO: 1. Poeta polskiego renesansu, 6. jednostka masy, 10. wychodzi tam „Życie Literackie", 11. miasto, które było w nagłówku „Kameny", 12. patriarcha, 14. poeta z epoki romantyzmu, współzałożyciel Filomatów, 16. dzieło plastyka, 17. pisarz rosyjski z XIX wieku, autor „Zapisków myśliwego", 19. ocena szkolna, 21. stos atomowy, 23. miasto w Zagłębiu Kuźnieckim w ZSRR z fabryką maszyn kopalnianych, 26. dowódca armii w Turcji sułtańskiej, 28. przedsiębiorstwo państwowe dysponujące parkiem maszynowym dla rolnictwa, 29. dzieła wzorowe, typowe dla danego okresu, 32. praca zecera, 33. długa i nudna mowa, 34. posążek bóstwa, 35. dziewięć z dziesięciu obrazów jednakowych na oko.

PIONOWO: 1. upał, 2. szczyt graniczny między Polską i CSRS w Beskidzie Śląskim, 3. użyźnia glebę, 4. autor Mazurka Dąbrowskiego, 5. powieściopisarz polski XIX wieku, twórca wielu powieści historycznych, 7. rasa małego psa, 8. pisarz polski, twórca Koziołka Matołka 9. stolica cesarstwa bułgarskiego w średniowieczu, 13. pierwiastek chemiczny, srebrzysty metal z rodziny skandowców (wspak), 15. szesnastowieczny pisarz, historyk literatury, twórca zbioru biografii pisarzy polskich, 18. nałóg współczesnej młodzieży na Zachodzie 20. „Litwo, Ojczyzno moja" itd. lub „Achilla, śpiewaj Muzo, gniew" itd. 22. pocisk okrętowy, 24. karty w/g kolejnej wartości, 25. fortuna, 27. roślinny surowiec na leki, 30. roślinność (wspak), 31. miasto powiatowe w woj. białostockim.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (Lublin, skr. poczt. 131). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody — bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki nr 15.

POZIOMO: Wasilewska, kilim, Lelewel, song, Eger, limba, Saratow, nawa, Orkan, Głazunow, Anabaza, Alkmena, Erenburg, patki, echo, Norblin, kuter, Ebro, noga, warzywa, akant, Lanckorona.

PIONOWO: Wells, Irena, Walewska, agora, kuglarz, Leśmian, Majakowski, Senegal, ręka, iona, Orzeszkowa, Anin, urna, Zagłoba, Klonowic, Epir, atol, Elstera, Biernat, Hegel, bazar, Niasa,

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 15 nagrody książkowe wylosowali: Stefan Komorowicz — Skarżysko Kamienna 3, ul. L. Staffa 22 m. 2; Jacek Mikusek — ul. Lipowa 63; Maria Piszcz — Sarnów, pow. Łuków; Elżbieta Widziszewska — Lublin, ul. Krakowskie Przedmieście 53 m. 30.

Listy do KAMENY

Ignacy Baranowski

Z wielkim zainteresowaniem i radością przeczytałem artykuł p. Kazimiery Gawareckiej w „Kamenie" z 4 VII. Chodzi o prof. Ignacego Baranowskiego i jego związki z Lublinem. Znałem jeszcze prof. Baranowskiego, który był stryjem i opiekunem mojej matki, Elżbiety, oraz jej młodszego brata, historyka polskiej ekonomii przedrozbiorowej, Ignacego Tadeusza Baranowskiego. Jako dziecko coraz z mymi siostrami bywałem w mieszkaniu Baranowskiego przy Krakowskim Przedmieściu 7. Przyjeżdżaliśmy tam z Krakowa na święta. Dziadek Baranowski miał wielopokojowe mieszkanie.

Ojciec mej matki, Wojciech Baranowski, zmarł wcześnie, matka (Tekla z Kudelskich) również dzieci swe osierociła. Z tego powodu wychowała się moja matka, i jej brat, w Warszawie u swego stryja, prof. Ignacego Baranowskiego. W tym domu bywali liczni goście, m. in. Prus i Sienkiewicz. Autor „Lalki" lubił dzieci, podnosił je i całował. Bywał też dr Ludwik Natanson, znany lekarz i higienista, ojciec mego ojca. Dzięki temu poznali się moi rodzice w domu przy Krakowskim Przedmieściu, a niebawem zaręczyli. Ojciec otrzymał katedrę fizyki w Krakowie, dokąd się na stałe z moją matką przeniósł.

Pamiętam dra Ignacego Baranowskiego z ostatnich lat jego życia. Był pogodny, lubił żarty i anegdoty, czasem rubaszne. Z sentymentem wspominał Lublin i nieraz mi o swym mieście opowiadał. Gdy jestem w tym grodzie, zawsze wspominam Ignacego Baranowskiego i jego brata, Wojciecha, po którym odziedziczyłem imię, choć go — oczywiście — nie znałem.

Łączę piękne ukłony i serdeczne pozdrowienia

dr Wojciech Natanson
Warszawa

„Z drewna powstały, w proch się obrócą"

Z uwagą przeczytałem celny lecz przygnębiający artykuł I. J. Kamińskiego pt.: „Z drewna powstały, w proch się obrócą" („Kamena" nr 14/473) i odszukałem w szufladzie swój maszynopis na zbliżony temat, zatytułowany „Czy będzie skansen w Lublinie?", złożony w Pańskiej Redakcji w 1965 roku (jak te lata szybko płyną, szczególnie dla zabytków!) i... nigdy nie wydrukowany.

Przypominam o tym, aby Czytelnicy „Kameny" nie rozumieli dosłownie słusznego stwierdzenia I. J. Kamińskiego: „Wokół zabytków lubelskich panowało milczenie, trwające w gruncie rzeczy do dziś", aby również zwrócić ich uwagę na to, że Muzeum Wsi Lubelskiej organizuje się już prawie dziesięć lat (jak te lata szybko płyną w działaniu naszych władz wojewódzkich!).

Sam natomiast chciałbym wiedzieć komu zależało na przemilczaniu tragicznych losów zabytkowej drewnianej architektury i ludowego budownictwa w naszym województwie? I jakie wyjście z tej od lat powikłanej sytuacji zaproponują władze konserwatorskie w odpowiedzi na artykuł Kamińskiego?

Stanisław Michalczuk

„Książka oknem na świat"

Zatrwożyła się p. Janina Polak z Lublina, kiedy to („Kamena" nr 15 — listy), będąc niedawno w bibliotece gromadzkiej w Ludwinie, dowiedziała się od kilku młodych czytelników, że nie czytają książek M. Nowakowskiego, A. Twerdochliba, E. Stachury, A. Augustyna i M. Pilota.

I tu powstał problem. „Skąd zatem młody czytelnik może czerpać wiedzę o swoim czasie, podaną w artystycznej formule, a więc wiedzę najmocniej zapadającą w pamięć, bo towarzyszy jej przeżycie estetyczne?". Skąd, jak nie z prozy Nowakowskiego „Ten stary złodziej". Ile tu zafascynowania środowiskiem. Przekonania, że tam właśnie autor odkrył prawdziwe źródło autentycznego życia, wyzwolenie przed schematem, przed sztampą uczuciową.

Podobnych przeżyć estetycznych w stylu „cool sex" dostarczy również proza innych pisarzy współczesnych, choćby Brychta czy Iredyńskiego. Być może młody czytelnik „czerpie wiedzę o swoim czasie" z tego rodzaju prozy, ale to nie jest moja Kolchida wzruszeń literackich.

Wątpliwa prawdziwość koncepcji psychologicznej bohatera powieści Twerdochliba, jego kontrowersyjny, nieco literacki autentyzm środowiskowy nie wydaje mi się „najlepszym kluczem do problematyki współczesnej". Dalej, czy bohater tomu „Falując na wietrze", ascetyczny tramp, kreowany przez Stachurę, jest „aktualny" i „życiowy"? Nie wiem, być może. Czy lansowane przez niego postawy, mają jakiś oddźwięk społeczny? A. Augustyn, autor „Poganina" — „swoją rzeczywistością osiągalną na wyciągnięcie dłoni" chyba nie stworzył specyficznej i niepowtarzalnej wizji świata, który przynosi dojrzała i wartościowa książka.

Pani J. Polak pisze, że „każde pokolenie wnosi do historii literatury i myśli społecznej własne widzenie świata". Zgoda. Ale czy musi się zbyt spieszyć? Mamy prawo oczekiwać „widzenia" trwalszego, dojrzałego, ukazanego w panoramie, a nie w pomniejszającej perspektywie.

„Na jakich dziełach tenże czytelnik może uczyć się nowego języka prozatorskiego" — pyta autorka listu. Problem. Kiedyś J. Parandowski pisał: „Jakże niewiele zostało z Renana. Jakże bliski jest dzień, kiedy L. Strauss sam obróci się w legendę, w którą ongi spychał postacie wielkie jak świat!... Inne, nieznane mi nazwiska spychają ich w zapomnienie, nazwiska, które, ledwo weszły, już nie mają blasku. I stać się może w niedalekiej przyszłości, że tylko w mojej pamięci i w myślach garstki ludzi mojego pokolenia odzywać się będziecie niktym, drżącym głosem starych kurantów".

Stanisław Sterkus
Kodeniec, pow. parczewski

Najlepszą formą terminowego otrzymywania „Kameny" jest prenumerata

POSTE RESTANT

Nazwa naszej rubryki Poste Restante ma znaczenie dosłowne: poczta zostająca, czyli te nadesłane do redakcji utwory, których — z prawdziwym żalem — nie mogliśmy zamieścić w numerze, ale które — z prawdziwą satysfakcją — wybraliśmy do publikacji w tej rubryce. Przypominamy, że w Poste Restante nie płacimy honorarium.

Dawno już nie było w naszym niezależnym organie niezależnej refleksji nad sztuką poetycką. Okazji dostarcza nam Pan L. P. z Gliwic:

Motto:

„Od czasu do czasu natchnienie spada na każdego, ale tylko utalentowani potrafią siedzieć nad kartką papieru długimi godzinami i udoskonalać dyktando ducha".

(„Życie Literackie" 1971, nr 20)

Prawdziwy poeta
to nie wierszokleta.
Nad kartką papieru myśli,
nim poezji słowa skryśli.
Czesze swój rozsądek zdrowy,
by wyczesać mądrość sowy,
albo chcąc zabłysnąć w sławie,
przystraja się w pióra pawie.
A poezja?
Rym do rymu, rym do rymu,
wiersze krótkie, wiersze szersze
rozbiegane poszły w strofy,
wiodąc rzecz do katastrofy.
A byłoby całkiem ślicznie,
gdyby zacząć tak lirycznie:
niebo — księżyc — gwiazdy w górze,
a na dole: kwiaty — róże,
szmaragdowe ścieliska rąk,
na trawce kołyszący bąk
w przestwór cichuteńko bzyka.
Ot, i metafizyka u poety —
z rymem wpadł do wierszoklety.
Ergo — wykrzykuje on,
że to jest poezji fon.

Musimy też dodać, że naszym korespondentom towarzyszy nie tylko refleksja matapoetycka, ale niezwykła przytomność umysłu i rezon, szczególnie gdy idzie o ich własną sprawę literacką. Pisze pewien autor: „Ponieważ jestem początkującym Twórcą, pragnę zachować dyskrecję, dlatego podaję adres uprzejmościowy, chociaż osoba ta nie wie, iż czyni mnie tą uprzejmość... Utwór kosztował mnie wiele wysiłku twórczego, w który, co zrozumiałe, nie jestem na razie zbytnio bogaty. A kilka oszczędnych słów zachęty mogłoby dać ukochanej przez nas Ojczyźnie coś więcej, niż nawet dobrego urzędnika państwowego." Każda droga dobra, jeśli prowadzi do celu.

Gdy stolicy nie słychać

Dokończenie ze str. 5

na prawdziwy skok w nowoczesność.

Tak więc rozbudowie i modernizacji ulegnie sieć stacji nadawczych radia, które zlikwidują ostatecznie wszystkie „martwe pola" na obszarze kraju. Np. zakończenie budowy nowoczesnej radiostacji długofalowej o mocy 2000 kilowatów w rejonie woj. warszawskiego zapewni począwszy od 1974 roku dobre warunki odbioru programów PR na obszarze całego kraju, a wyposażenie istniejących stacji w nowe nadajniki UKF zwiększy zasięg dobrego odbioru programów emitowanych na falach ultrakrótkich do 97 proc. obszaru Polski. To pozwoli również na zwiększenie skuteczności przekazywania programów PR, emitowanych na falach średnich i krótkich za granicę.

Prawdziwa „rewolucja" szykuje się również w telewizji. Nie chciałbym zanudzać masą szczegółów technicznych, niezwykle istotnych dla fachowców, lecz nie najbardziej zrozumiałych dla laików i dlatego skoncentruję się na rzeczach najbardziej zasadniczych.

I program TV dzięki budowie 10 nowych stacji do końca 1975 r. obejmie ok. 80 proc. ludności, a do 1977 r. praktycznie cały obszar kraju.

II program TV, dostępny w chwili obecnej jedynie dla mieszkańców Warszawy, Katowic, Łodzi, Krakowa oraz ograniczonego obszaru województwa warszawskiego i katowickiego, który nadawany jest w chwili obecnej pięć razy w tygodniu po 2,7 godzin na dobę — będzie już w 1975 r. dostępny dla 50—60 proc. ludności kraju.

Rozpoczęta 18 marca br. eksperymentalna emisja kolorowych programów za pośrednictwem nadajników Warszawy — Łodzi i Katowic wymaga spełnienia jeszcze kilku zasadniczych warunków. Wśród nich budowa bazy dla produkcji kolorowych filmów i dalszych zakupów sprzętu niezbędnego dla rozpoczęcia regularnego nadawania programu przez ośrodek warszawski. Ale najważniejsze jest uruchomienie produkcji na skalę techniczną popularnego i względnie taniego odbiornika dla telewizji kolorowej. Nastąpi to — jak się zakłada — w latach 1973—75, przy czym należy wyraźnie podkreślić, że nie należy i nie można oczekiwać, iż już w roku 1975 przemysł krajowy będzie w stanie w pełni zaspokoić całe zapotrzebowanie rynku.

Oto w największym skrócie to, co wynotowałem podczas rozmów w Ministerstwie Łączności. Można by mówić jeszcze i o niezwykle interesującym planie budowy naziemnej stacji satelitarnej, która pozwoli na usprawnienie interwizyjnej wymiany programów telewizyjnych między krajami socjalistycznymi i o programie budowy na terenie Warszawy wielkiej, nowoczesnej bazy produkcji telewizyjnych materiałów filmowych, budowie nowych rozgłośni radiowych w Białymstoku, Kielcach, Poznaniu czy Szczecinie i tysiącu innych niezwykle istotnych decyzji. Wydaje się jednak, że nie o to chodzi. Napisałem tylko o tym, co w końcowym efekcie już dzisiaj może obchodzić przeciętnego odbiorcę programu.

Juliusz Solecki

»KAMENA«

Pismo lubelskiego oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI i ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny), TADEUSZ KŁAK, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz: MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI, MACIEJ PODGÓRSKI i ROMUALD WIŚNIEWSKI. Redakcja techniczna i korekta — ALICJA KRÓLIKOWSKA.

Informacji w sprawie prenumeraty udzielają placówki pocztowe i „Ruch". Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW PRASA, Lublin, Aleje Racławickie 1. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4.

Numer łamał KONSTANTY KĘPA

Adres redakcji:

Lublin, ul. Narutowicza 33

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-33

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecona i ekspresowa — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 1333 28.VII.71. 7.828 A-3

Szanse zamążpójścia

Ciekawe, czy i w jaki sposób lubelscy sędziowie uczczą trzechsetną rocznicę zgonu słynnej Rzeczypospolitej Babińskiej, doceniając w ten sposób i krytycyzm i dowcip swoich poprzedników. Wprawdzie do dzisiaj czasy bardzo się zmieniły, ale przecież wciąż jeszcze u wielu ludzi przetrwało wielkie zamiłowanie do różnych tytułów, zwłaszcza takich, które mają w sobie dźwięk czegoś, co może dać pozmak władzy — dyrektor, prezes, przewodniczący, naczelnik, kierownik, pełnomocnik, główny np. mechanik, naczelny np. architekt, w najgorszym razie starszy inspektor...

Ale ja nie o tytułomanii chcę pisać. Pragnę natomiast zaproponować naszym władzom wojewódzkim utworzenie czegoś jeszcze bardziej oryginalnego od Rzeczypospolitej Babińskiej. Chwalimy się często, że nasze województwo to zagłębie inicjatyw (najczęściej nie zrealizowanych). Więc niech będzie jeszcze jedna inicjatywa, która może rozsławić Lubelszczyznę nie tylko w całym kraju, ale i daleko poza jego granicami. Po prostu dlatego, że propozycja moja pozwala rozwiązać wiele problemów natury społecznej i gospodarczej, nie mówiąc o życiu prywatnym wielu tysięcy ludzi, co również nie jest pozbawione wielostronnego znaczenia.

Proponuję mianowicie utworzenie — im szybciej tym lepiej — Rzeczypospolitej Babskiej. O tym, że projekt traktuję poważnie, świadczy chociażby fakt, że ową Rzeczpospolitą wraz z przymiotnikiem piszę z dużych liter. I nie mam w zanadrzu żadnych złośliwości, o czym zarówno czytelnicy jak i zainteresowane władze mogą się zaraz przekonać.

Otóż w wyniku wojny i faktu, że wbrew nazwie płeć słaba jest biologicznie silniejsza od tzw. płci brzydkiej, bo śmiertelność wśród dziewcząt jest stale większa niż wśród chłopców — mamy na Lubelszczyźnie nadwyżkę 55 361 kobiet. Upłynnienie tej nadwyżki na zewnątrz nie jest możliwe. Podobna sytuacja istnieje dosłownie we wszystkich województwach, a także w tych krajach, do których te nadwyżki chciałyby się udać. Z wyjątkiem dalekiej Australii, w której obywatele męscy jednak w ostatnich latach wykazują znacznie mniejsze zainteresowanie Polkami niż dawniej.

Ta nadwyżka 55 361 kobiet stwarza nam poważne kłopoty z zatrudnieniem, żłobkami, szkołami, kawiarniami itd. Także np. przemysł lekki ma dużo dodatkowych kłopotów. Przewaga klientek nad klientami zmusza go do częstego dostosowywania się do mody, co jest i pracochłonne i wymaga tzw. pomyślunku, czym nie wszyscy mogą się pochwalić. Np. kalesony męskie można robić identyczne przez dwie, nawet trzy pięciolatki i wszystko będzie w porządku. Natomiast majtki damskie przynajmniej co pół roku muszą wyglądać inaczej i być robione z innego surowca. Mężczyznom np. pralki czy odkurzacze byłyby raczej w ogóle niepotrzebne, natomiast panie domu ciągle wołają o lepsze i ładniejsze, wskutek czego przemysł metalowy też musi być coraz bardziej elastyczny. A nie znajdujące odpowiednika w męskiej modzie — biustonosze, których fason trzeba zmieniać co pół sezonu!

Istnieje również szansa, że utworzenie Rzeczypospolitej Babskiej znacznie zmniejszy nacisk na budownictwo mieszkaniowe. Wbrew bowiem dość powszechnym twierdzeniom, że dawanie posagu córkom należy już do reliktów przeszłości, trzeba kategorycznie stwierdzić, iż tak nie jest. W pierwszych latach po wojnie najczęściej wystarczał dyplom ukończenia studiów czy kursu dla spawaczy acetylenowych. Dzisiaj najpewniejszą gwarancją zdobycia męża jest mieszkanie. Znam wypadek, gdy młody człowiek czmychnął już ze schodów ratusza, gdyż towarzysząca mu oblubienica miała na poparcie swojej kandydatury tylko roczny plan przydziałów mieszkań w LSM, natomiast czekająca na rondzie przed ratuszem kontrkandydatka już gotowe do objęcia mieszkanie. Usunięcie nadmiernej podaży kandydatek z mieszkaniami czy chociażby przydziałami pozwoli w pełnym stopniu uzdrowić sytuację na rynku mieszkaniowym.

Nie dziwię się młodym mężczyznom, że nie tylko przebierają wśród dziewcząt jak w ulęgałkach, ale że przedkładają M-3 nad M-1, realną rzeczywistość nad perspektywy. Jak wynika z przeliczenia owej nadwyżki kobiet, co osiemnasta mieszkanka Lubelszczyzny nie znajdzie w życiu partnera do szczęścia małżeńskiego, jeżeli nie liczyć godnych potępienia przypadków, gdy jeden mężczyzna kolejno ma dwie żony. To pachnie obyczajami arabsko-tureckimi, chociaż jest sprzeczne z zasadami islamu. Mahomet bowiem pozwalał mieć nawet pięć żon i to równocześnie, ale pod warunkiem, że mężczyzna będzie im mógł zapewnić pełne utrzymanie, to znaczy wikt i mieszkanie, tylko opierunek pozostawiając na ich głowie.

Po tych dywagacjach czas jednak wrócić do pierwotnej propozycji i jej konkretnych elementów. Otóż proponuję dalej, aby za teren Rzeczypospolitej Babskiej obrać powiat opolski. Ma właśnie tyle mieszkańców, ile wynosi nadwyżka kobiet w całym województwie. Mężczyzn z tego powiatu należałoby według rozdzielnika, opracowanego przez Wojewódzki Urząd Statystyczny, przenieść do tych powiatów, gdzie ich brak. Np. do Lublina (14 507), do powiatu biłgorajskiego (3069), do powiatu bialskiego (3012) itd.

Obywatelki Rzeczypospolitej Babskiej nie byłyby materialnie pokrzywdzone. Ziemia tam dobra, dużo ożywczych lasów, w jednym z nich wielka fabryka sprzętu gospodarstwa domowego. Wszystkie stanowiska polityczne, administracyjne i społeczne należy, oczywiście, obsadzić kobietami. Droga do awansu w tym powiecie stałaby się znacznie szersza niż obecnie w całym województwie i to bez podejrzewania mężczyzn o różne protekcyjki. Jedyny wyjątek powinien stanowić tylko sąd powiatowy, który winien składać się wyłącznie z mężczyzn. Chodzi o to, aby uczucia nie dominowały nad prawem, które musi być twarde i konsekwentne.

W ten sposób wszystkie pozostałe powiaty województwa odzyskałyby wreszcie równowagę demograficzną. Zyskałyby na tym również obyczaje, a szanse zamążpójścia byłyby takie same, jak szanse ożenku. Atmosfera oczyściłaby się wreszcie z różnych szkodliwych składników w rodzaju polowań na mężów, przekupywania mieszkaniami czy coraz krótszymi mini. To ostatnie zresztą staje się coraz mniej skuteczne.

Dziewczętom, poszukującym kandydatów na dozgonnych towarzyszy życia, czy chociażby na okres krótszy a intensywniej przeżywany, mogę zdradzić kilka tajemnic z ostatniego spisu ludności. Niespodziewanie bowiem okazuje się, że np. w Świdniku jest sytuacja odwrotna niż w całym województwie: tam istnieje nadwyżka mężczyzn w liczbie 845. Wprawdzie w zasadzie są to dopiero uczniowie szkół zawodowych i średnich, ale w tych sprawach trzeba patrzeć perspektywicznie. Niejakie nadwyżki są jeszcze np. w Krężnicy Okrągłej, Palikijach, Ciciborze Dużym, Matczewiczach, Rossoszu, Mirczu, Strzyżowie czy Weibkowicach. Takich rodzynków jest jeszcze trochę i która z czytelniczek jest bardziej tym zainteresowana, niech nawiąże kontakt z Wojewódzkim Urzędem Statystycznym, który — ponieważ nie jest biurem matrymonialnym — bezpłatnie udzieli dalszych informacji.

Projekt mój polecam Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego do bardziej dokładnego opracowania, oczywiście przy spontanicznej współpracy. Ponieważ prace nad bieżącą pięciolatką są już poważnie zaawansowane, można spodziewać się, że propozycja zostanie uwzględniona dopiero w następnej. Zresztą realizacja wypadnie wtedy akurat na rocznicę likwidacji Rzeczypospolitej Babińskiej.

Stanisław Burakiewicz

P. S. Projekt mój odstępuję władzom wojewódzkim bezpłatnie. Chociaż są szanse, że w niedalekiej przyszłości otrzymam za niego jakieś wyróżnienie. Bo aż dziw bierze, że — jak dotychczas — żaden z dziennikarzy lubelskich nie otrzymał odznaki „Zasłużony dla województwa lubelskiego". Może będę pierwszy?

St. B.

FALSETEM

„Kto kogo?"

W NIEDAWNO wydanym przez „Czytelnika" zbiorze felietonów, artykułów i recenzji Antoniego Słonimskiego znalazłem taki tekst:

Teatr Nowy: SIMONA, komedia w 3 aktach Jakuba Devala; przekład Zdzisława Kleszczyńskiego; reżyseria Zbigniewa Ziembińskiego; dekoracje Stanisława Jarockiego.

Simona kocha Tony'ego, Andrzej Salicei kocha Simonę, Simona nie kocha Andrzeja Saliceia, a Tony kocha Simonę. Potem Tony już nie kocha Simony, Simona kocha Andrzeja, a Andrzej kocha Simonę. Ta wstrząsająca tragedia serc ludzkich opowiedziana jest z lekkością i błyskotliwością, jaką odznacza się stary nocnik wyrzucony na śmietnisko. Lekkie to, ma połysk, ale usiedzieć już na tym nie sposób.

6 maja 1934 r.

Wyobrażam sobie, co by się działo, gdyby któreś z czasopism zamieściło podobną recenzję w maju 1970 roku. To nie pomyłka, myślę rzeczywiście o roku 1970, bo w roku 1971 rzecz przeszłaby bez echa. Obszary krytyki prasowej tak się powiększyły, że można już swobodnie atakować nie tylko Londyn, ale i Warszawę, można „przejechać się" po Lubartowie i Zamościu, ba — prasa lubelska (wprawdzie powoli) zauważyła, że i w samym Lublinie to i owo należałoby usprawnić. Nastąpiły, następują i będą następowały zmiany kadrowe na większych i (zapewne) mniejszych stanowiskach, co w okresie sierpniowej kanikuły bardzo ożywia atmosferę. Ożywianie atmosfery nie jest jednoznaczne z ożywianiem rytmu pracy. Tu i ówdzie w rozmowach bardziej lub mniej prywatnych, w godzinach służbowych i pozasłużbowych, rozwiązuje się krzyżówkę „kto z kim", „kto kogo", „kto komu", „kto pod kim", co by nawet bawiło, gdyby w gruncie rzeczy nie było takie smutne. I takie stare!

A tymczasem roczny plan inwestycyjny Lublina opiewający na ok. 534 mln złotych został w I półroczu wykonany w 44 proc. Poważnie zagrożone („Sztandar Ludu" z 27 lipca br.) niewykorzystaniem (język polski nieco zagrożony jest pisaniem) są sumy przeznaczone m. in. na spółdzielcze budownictwo mieszkaniowe. Spółdzielczość ma otrzymać w tym roku 1798 mieszkań, a przez pół roku otrzymała zaledwie 445. Zdjęcie ze stanowisk niektórych dyrektorów może stanowić sygnał alarmowy dla ich następców. A swoją drogą opinia publiczna, jak sądzę, byłaby rada, gdyby PAP informowała również o dalszej drodze życiowej tych, którzy odeszli z kierowniczych stołków nabałaganiwszy przedtem, ile się tylko dało.

O losie jednego z kierowników (już nie z branży budowlanej) wiem prywatnie. Siedzi. Jego nazwiska nie wymieniam, toczy się śledztwo i dopóki rzecz nie jest zakończona uprawomocnionym wyrokiem, trudno z góry sprawę przesądzać. Niezależnie jednak od wszystkiego kilkakrotnie wskazywaliśmy w przeszłości na łamach „Kameny", że ten człowiek nie nadaje się na stanowisko, które mu powierzono. Niektórzy traktowali nasze uwagi jako personalne rozgrywki, nie dostrzegając, że cierpi interes społeczny.

Zdaję sobie sprawę, że sprawiedliwa ocena kadr jest sprawą najtrudniejszą. Zresztą już z góry nasuwa się pytanie: kto ma oceniać? Jeśli np. X napisze w opinii o Y-u, że Y nadużywa alkoholu, można się z tą opinią zgodzić jedynie wówczas, gdy X jest abstynentem lub prawie abstynentem. Jeśli natomiast X pije przynajmniej tyle, albo jeszcze więcej niż Y, obaj się mogą tylko uśmiać i razem pójść na czystą pod śledzika.

Ktoś znów może powiedzieć, że mój kolega po piórze Mirosław Derecki jest hipisem, bo nosi długie włosy i ubiera się nietypowo. Z tego też względu nie jest wskazane wpuszczać go do stołówki Bardzo Poważnej Instytucji. A może by tak zainteresowani pracownicy Bardzo Poważnej Instytucji ocenili Dereckiego chociaż by na podstawie jego publikacji prasowych czy książki „Tropem majora Hubala" i wówczas zadecydowali, gdzie mu wolno bywać, a gdzie nie. Oczywiście, jeśli to jest problem numer jeden naszego brzydko pięknego miasta nad Bystrzycą.

A więc ostrożnie z ocenami. Dobrze skrojony garniturek, biała koszula, dokładnie wyczyszczone buty (i paznokcie) oczywiście cieszą oczy. Nie tylko jednak oczom należy zawierzać, chociaż na ręce (o głowie nie mówię) trzeba patrzeć. Oczywiście byłoby idealnie, gdyby można z tego zrezygnować. Nie jestem jednak aż takim optymistą.

Przynajmniej w chwili, gdy piszę te słowa...

MAJ

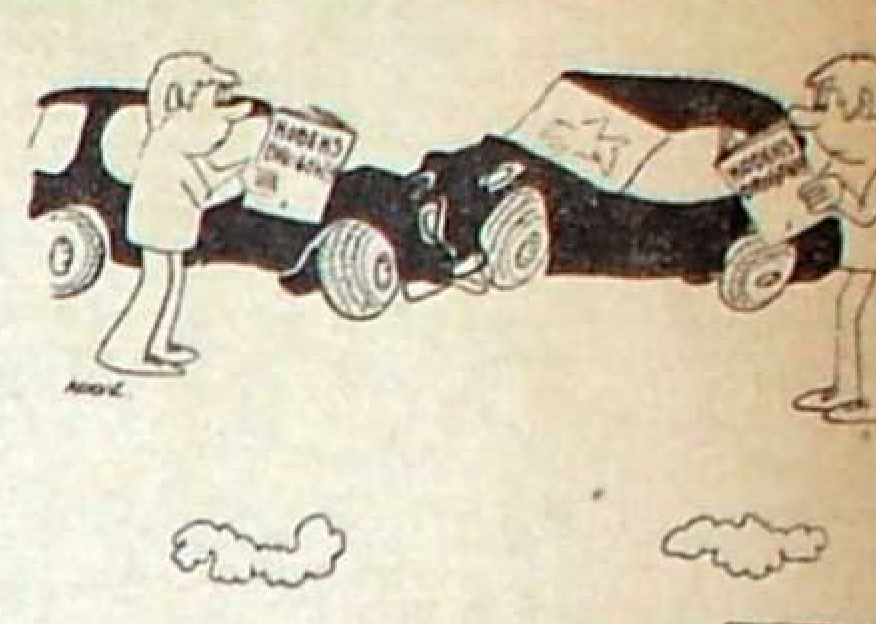

Rys. A. Stok

MINUTA MYŚLENIA

Telewizja w piżamie

WSTYD mi się przyznać, że do telewizji mam stosunek prawie zabobonny, nie mogąc sobie wytłumaczyć, w jaki sposób na odległość można przekazać obraz, jeśli się go nie opakuje i nie nada na pocztę. To mi każe niejako z apriorycznym szacunkiem odnosić się do telewizyjnego programu, który w ten sposób legitymuje się nadprzyrodzonym prawie pokrewieństwem. Drugi powód zahamowania jakichkolwiek zastrzeżeń jest bardziej ziemski: ta masa obrazów, szczegółów, scen, informacji, jaka idzie na żer codziennej emisji, wymaga przecież nie lada operatywności, co dodatkowo cenię tym wyżej, im częściej czytam o kurnikowym standardzie technicznym naszego studia. Każdego dnia, kiedy naciskam klatkę włącznika, ożywiam szklany ekran tysiącem migotań, natomiast żadnego dnia nie przyjąłbym komunikatu: „Proszę państwa, bardzo przepraszamy, dziś programu nie będzie, ponieważ wczoraj naszym reporterom nie udało się niczego sfilmować". Ilekroć więc przychodzi mi ochota to i owo w telewizji poddać krytyce, coś mi ostrze niechęci wytrąca następującą uwagą: „Ty tu siedzisz na tapczanie w domowych pantoflach, jak informuje publicystyka obnażająca konsumpcyjny stosunek do kultury, a oczekujesz nadzwyczajności od ludzi, których i tak zasługą jest, że widzisz kurę aktualnie spacerującą po podwórzu PGR Przyszłościowice". Dlatego o TV milczę.

Dopóki nie ujrzałem (22 VII 71 — godz. 21.50) „żartu obyczajowego" i „zabawnej komedii" (określenia z „RTV" nr 29) pt. „Piżama". Ten szczegół garderoby nawet w okolicznościach toczonych wyżej potrafił mnie wytrącić z milczenia, a dodatkowo wpędzić w zdumienie, że jak dotąd nikt, co się wydaje aktualne również w odniesieniu do przyszłości — nie pisnął słówka prawdy o tym osobliwym przez swą nijakość utworze. Wobec faktu, że każde prawie pismo za punkt honoru poczytuje sobie prowadzić kącik recenzji telewizyjnych, jakbyśmy w tym środku przekazu mieli upostaciowanie nowego rodzaju sztuki.

A więc młody małżonek nie uznaje piżamy, natomiast młoda małżonka widzi ją jako warunek sine qua non swojego małżeństwa. To nam realizatorzy z TV chcą wmówić jako temat nr 1 naszego dnia, niemal ekstrakt współczesności. W takim razie, Szanowny Panie Redaktorze, zwracam się z propozycją paru scenariuszy dla teatru telewizji. Pierwszy: wkład do długopisu nie pasuje, z czego wynika dramat miłosny, ponieważ — jak wiadomo — listy pisuje się również w sprawach sercowych, a tu została sprowadzona do zera tejże ewentualności szansa techniczna. Drugi: zegarek sztygara spóźnił się całe dwanaście godzin, co spowodowało jego absencję w pracy, a w dalszej konsekwencji niewykonanie kwartalnego planu przez zagłębie oraz przejściowe trudności na rynku mięsnym (podkreślam szerokie widzenie współzależności ekonomicznych, jak również atrakcyjny element surrealistycznego humoru). Trzeci: „co za pech" wykrzyknęła kobieta przyszywszy guzik od kamizelki do spodni, co w sposób oczywisty (acz z niewykluczonym zdumieniem dla niej samej) demaskuje w niej skłonność do fatalistycznego pojmowania dziejów, przeciwną chłodnemu racjonalizmowi naszej współczesności.

Co, Panie Redaktorze? Właśnie autorom „Piżamy" zawdzięczam to otwarcie oczu pozwalające treść życia ujrzeć w bagatelizowanych dotychczas szczegółach. Przecież wiadomo... Co jest przyczyną rozwodów? Niechęć małżonka do piżamy. Co natomiast małżeńską idyllą demograficznego wyżu? Przezwyciężenie tejże, co jednak nie w każdych warunkach jest osiągalne, ponieważ do tej jednej piżamy, oprócz walczącej o swe szczęście małżonki potrzebne są: teściowa, teść i dwóch szwagrów.

Oczywiście, jest banałem, że w lekkiej komedyjce fabuła nie musi, czy nawet nie powinna obejmować realiów życia z rygoryzmem superrealistycznej konwencji. Ale jej humor za to powinien kompensować dowolność intrygi trafiając w nerw rzeczywistych okoliczności prezentowanych w sztuce; po drugie: istnieć. A oto jak wygląda humor w „Piżamie":

Ona: Włóż piżamę.

On: Nie włożę.

Ona: Nie włożysz?

On: Nie.

Ona (po chwili): Może jednak mógłbyś włożyć tę piżamę?

On (odczekawszy następną chwilę zacina się w milczeniu, z którego wynika, że jednak piżamy włożyć nie może).

Przenudziwszy się na tej „zabawnej komedyjce" pół godziny, byłem już bliski wrażenia, że tak między nami — między mną a telewizją — ona sama ten punkt programu po skonfrontowaniu z rzeczywistością ekranu traktuje na zasadzie przypalonego placka, którego się jednak nie wyrzuci. Z tego złudzenia wyprowadził mnie kilometrowy napis podany na zakończenie projekcji, a informujący o składzie realizatorów tak dokładnie, że maluczko, a dowiedzielibyśmy się nazwiska sprzątaczki oraz właściciela taksówki, który autora dowiózł do studio.

Narzekam i narzekam. Czy jednak żadnej korzyści nie łączę z projekcją filmu telewizyjnego według opowiadania Leszka Płażewskiego w reżyserii Antoniego Krauzego, w rolach głównych ze Stanisławą Celińską i Andrzejem Wilkiem? Owszem, rozszerzenie na swój użytek pojęcie chałtury. Zazwyczaj kojarzy się ono z cwaniactwem przedsiębiorczego oniežyświata, który zanim się ktoś zorientuje, łapie ukradkiem ryby w zmąconej przez siebie prowincjonalnej wodzie. Po co? Można to robić spokojnie, publicznie, wykorzystując do tego najlegalniejsze i najpoważniejsze instrumenty publikacji, jakimi dysponuje nasze państwo.

Ijon

NOTY i notki

ŚWIATOWĄ ATRAKCJĄ w okresie ogórkowym jest od lat kilkudziesięciu szkocki potwór. Felietoniści polscy — naród zazdrosny — od kilkunastu lat na sezon ogórkowy też mają „atrakcyjny" temat: drukować „Trędowatą" czy nie drukować. Tym razem gorącą filipikę na cześć rzekomego arcydzieła Mniszkówny napisał sam Aleksander Małachowski w nr 29 „Kultury". Pominąwszy fakt, że połowę obecnego felietonu autor poświęcił na przypomnienie własnego felietonu napisanego cztery lata temu na ten sam temat Małachowski dochodzi do takich, autorytatywnych stwierdzeń o „Trędowatej": „Mniszkówna jest po prostu wielkim Nikiforem literatury polskiej", „Myślę, że ludowa ballada zwana „Trędowatą" wejdzie wreszcie do Panteonu naszej literatury". „W rezultacie granica między Żeromskim, Nałkowska, Żukrowskim, Brylem i Putramentem a Mniszkówną jest bardzo cienka i trudna do wyznaczenia". Ciekawi mnie tylko, co na to wszystko Putrament-autor i Putrament-sekretarz generalny ZLP?

ZAIKS trudni się głównie zbieraniem honorariów dla autorów, w tym także dla pokaźnej części tzw. tekściarzy. Tymczasem powinien wielu z nich wymierzać grzywny za kaleczenie języka polskiego i propagowanie różnego rodzaju nonsensów. Świeżych przykładów dostarczyły teksty niektórych piosenek, prezentowanych na festiwalu w Kołobrzegu. Oto jeden kwiatek: „Nie płacz, dziewczyno, nie płacz mi / przecież ja jeszcze wrócę ci / ...Idę do wojska na rok, dwa / a ty wspominaj i bądź ma". Albo: „Żołnierz jest twardy, lecz mięknie w ramionach / i składa niebawem broń". Ale widocznie nie bardzo złożył, bo oto: „Stukają boćki dziobem w dziób, już ty, stolarzu, łóżko rób. / Klekocą boćki dziobem o dziób, / a ty, stolarzu, i kołyskę rób". Podziobać takich autorów.

Na lubelskim dworcu kolejowym od kilku już miesięcy wiszą dwie wielkie tablice z rozkładem przyjazdów pociągów — jedna przed wejściem do tunelu, druga na peronie I. Na obu widnieje informacja, że o godz. 23 na peron II wjeżdżają równocześnie dwa pociągi z jednego kierunku: pośpieszny z Warszawy i osobowy z Dęblina. Jeżeli dotychczas nie doszło do katastrofy to tylko dlatego, że informacja jest fałszywa. Ostatni pociąg osobowy z Dęblina przyjeżdża o godz. 21.42. Szkoda tylko, że o tym nie wiedzą kolejarze i wprowadzają w błąd kandydatów na pasażerów.

Zarzuciła „Polityka" (nr 30) Hamiltonowi, że felietonista ten wciąż pisze różne mniej lub więcej brzydkie rzeczy o innych, z imienia i nazwiska, a o sobie tylko same dobre. Święta prawda. Miałem tylko wcale małą uciechę czytając to, co na sąsiedniej szpalcie tej samej „Polityki" wypisywał „Bywalec" (gdzież on przez kilka ładnych tygodni bywał, że nic nie pisał). Kubek w kubek to samo. Dogaduje więc „Bywalec" Słonimskiemu, Mętrakowi, Górnickiemu, Francuzom, Amerykanom i innym jeszcze, a o sobie skromnie: „Przekonał się, że ze mną warto rozmawiać", „Powinien przyjść do mnie na wykład", „Ja jestem Bywalec socjalistyczny, a nie byle jaki" itp.

„Zofii Kucówny nie trzeba przedstawiać ani widzom warszawskim, ani pozawarszawskim" — zaczyna Maciej Karpiński swój tekst w „Sztandarze Młodych" (nr 173), po czym w 187 wierszach druku nie robi nic innego, jak właśnie przedstawia znakomitą aktorkę, dołączając jeszcze jej zdjęcie. W takim razie dla kogo to przeznaczone?

Spis telefonów w Katowicach ukazał się w dwóch częściach, podobnie jak w Warszawie — pierwsza część obejmuje instytucje, druga abonentów prywatnych. Instytucje mogą bez trudności kupować obie części, natomiast abonentom prywatnym nie sprzedaje się spisu telefonów instytucji. Niektórzy niesłusznie oburzają się na to. Po pierwsze — urzędy chcą mieć spokój, a Kodeks Postępowania Administracyjnego nic nie mówi o załatwianiu spraw przez telefon. Po drugie — obywatel jest po to, aby przyszedł do urzędu osobiście, albo z miłości do tego urzędu, albo na wezwanie opatrzone klauzulą „niestawiennictwo będzie karane"... No i w ten sposób został zawarty sojusz pomiędzy dyrekcją katowickich telefonów a tamtejszą biurokracją.

Na lipcowe święto Białystok otrzymał nowe zakłady graficzne, dzięki którym „Gazeta Białostocka" z niemal ćwierćszczykowatego formatu stała się płachtą wielkości „Trybuny Ludu". Fakt ten tak ucieszył redaktorów „Gazety", iż we wstępniaku napisali o sobie, „Mimo niezaprzeczalnych sukcesów, wyrażających się między innymi w stukilkunastotysięcznym nakładzie dziennym"... A dziesięć centymetrów obok, pod czerwonym tytułem „Gazety", przeczytałem czarno na białym: „Nakład 98 150".

JOD

Odpowiedzi redakcji

L. S. w Krakowie. Szanowny Panie, opowiastki satyryczne nie zainteresowały nas z dwu względów. Po pierwsze — miejsca w piśmie na ten gatunek właściwie nie mamy. Po drugie — jeśli się już nawet — sporadycznie — jakieś miejsce znajdzie, to przede wszystkim odpowiada nam nieco inny typ humoru, głębiej penetrujący rzeczywistość. Pańska satyra na tematy biurowe mocno przypomina dawne, bardzo dawne, a więc już wyeksploatowane wzorce humoru, czasów „błyskawic" i gazetek ściennych sięgające. Radzimy próbować szczęścia w innym gatunku satyrycznym.

A. W. w Warszawie. Nie bardzo wiemy, w jakim sensie pragnie Pan nas zainteresować nadesłanym tekstem. W każdym razie cieszymy się, że nadesłał Pan maszynopis, a nie „kokietliwą bazgraninę". Wybaczamy też „zjełczały papier", informując równocześnie, że odpowiedzi listownych redakcja zasadniczo nie udziela. Sam tekst — napuszony, niby głębokich prawd życia sięgający, a w gruncie rzeczy banalny i ckliwy. Gdyby szło Panu o publikację, to nasza odpowiedź brzmi: nie.

W. T. w Krośnie. Stosunkowo najlepszy pomysł ma wiersz „Samotność", choć w poincie wykorzystuje Pan nieco już ograny motyw. W sumie znać jednak, że Pańska świadomość i wyobraźnia poetycka błąka się po manowcach przebrzmiałych poetyk i sposobów literackiego organizowania oraz widzenia świata. Cóż radzić w tej sytuacji? Może niech Pan czyta więcej — rada już doprawdy banalna w tej rubryce. Bądź co bądź, czasem jest to dobry sposób, by się „wyleczyć" z twórczości własnej, a na przyszłość uniknąć rozczarowań z tego tytułu. Tym więcej, że rozmaitych rozczarowań życie i tak nam nie szczędzi. Wszystkim bez wyjątku.

M. N. w Kraśniku Lubelskim. „Niecharakterny charakter" pisma na tyle czytelny, że nie mieliśmy trudności z odcyfrowaniem rękopisów. Przynajmniej to. Bo reszta zdradza młodzieńca niezbyt ciekawego stanu, w jakim się znajduje współczesna poezja. No i zdradza jeszcze młodzieńca bardzo, ale to bardzo zakochanego, czym się tylko cieszyć możemy. Jeśli stanie się tak, że chęć do wierszowania minie, a miłość pozostanie, to będzie optymalne wyjście z sytuacji.

J. R. w Lublinie. Po pierwsze — nie jesteśmy tygodnikiem, o czym wypadałoby wiedzieć, skoro chce Pan nawiązać kontakt z redakcją. Ale to już raczej drobiazg, który na karb studenckiego roztargnienia kładziemy. Po drugie — proza nas zainteresowała, choć jeszcze nie na tyle, by myśleć o publikacji (po prostu wydaje się, że nie najwłaściwszy obrał Pan gatunek jako punkt startowy dla własnej literatury). Tak czy owak — dobrze byłoby spotkać się na terenie redakcji, porozmawiać nieco, a nuż coś konstruktywnego z tej rozmowy się wyłoni? Oczekujemy wizyty Pańskiej od września, a na razie życzymy przyjemnych wakacji. PS. Dobrze by było, gdyby zjawił się Pan z jakimiś nowymi tekstami.

J. F. we Włodawie. Część wierszy kwalifikujemy do druku, co zresztą nie powinno być dla Pana nowością w kontaktach z naszą redakcją. Słusznie Pan powiada, że dla każdego poety owe ćwiczenia słowne, „próby wytrzymałości języka", powinny być zajęciem niejako obowiązkowym (rodzaj kształcenia sprawności warsztatowej). Tyle tylko, iż efekty owych ćwiczeń powinny zostawać głęboko na dnie poetyckich szuflad, nie zaś wędrować na redakcyjne biurka, co często się zdarza. Pan w każdym razie posiadł już tę świadomość. Pozdrawiamy.